

**klat-
ka 4**

obrazy
z betonowych
boksów



**votum
nieufności 6**

dla
rady
pracowniczej



**amery-
kany 8-9**

nasi
w
Chicago

**podpo-
rucz-
nik 12
i du-
chy**

KONTAKTY

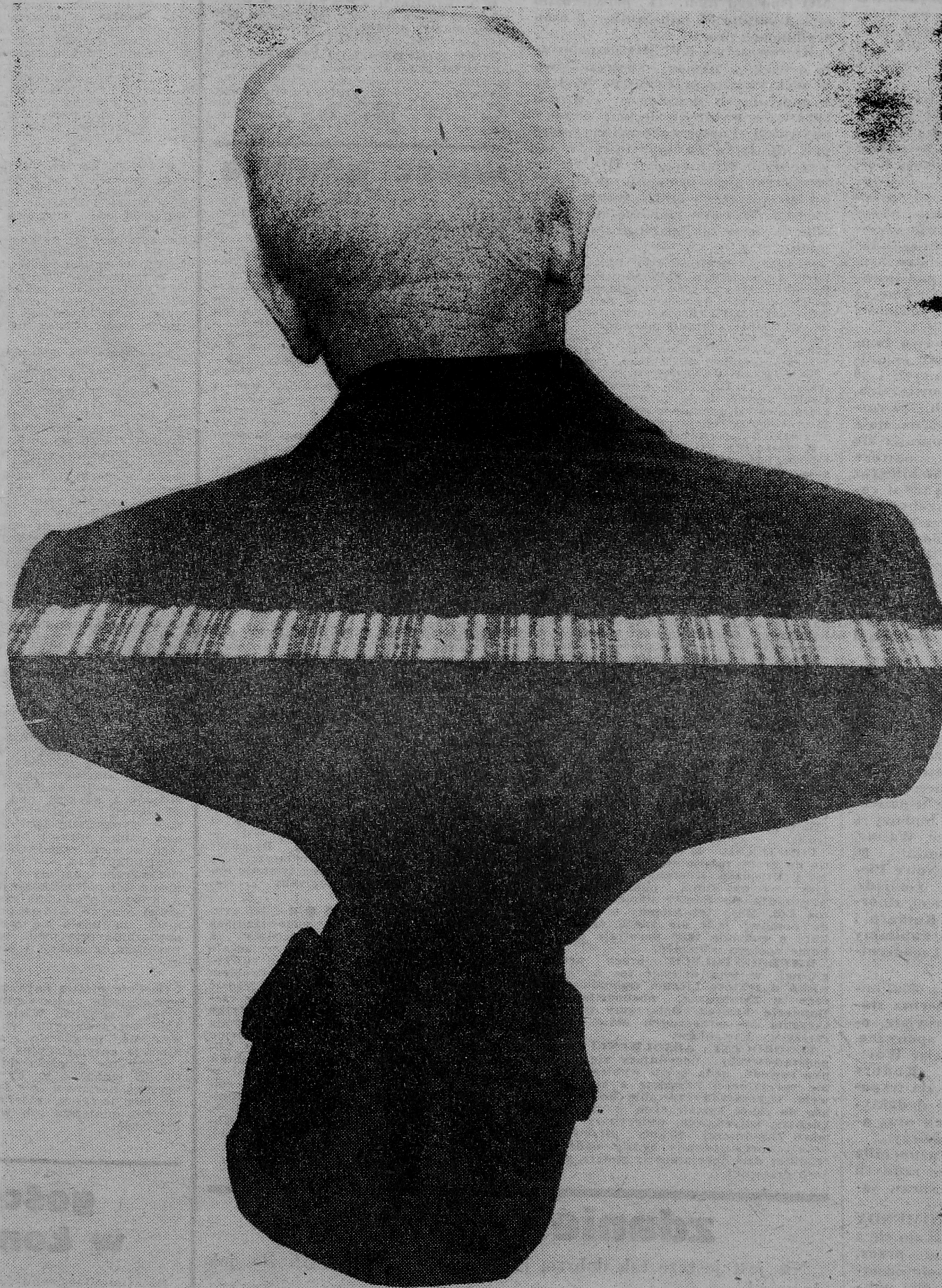
ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

8

(123)

KONTAKTY
20 II 1983

Cena
10 zł



STEFANIA HENCZEŁOWA
kropla kultury

słowo w opałach

**ostatni
zajazd na
Kurpiach**

O kulturotwórczą rolę prasy regionalnej, jej funkcje w środowisku, efekty inicjatyw redakcyjnych i rezonans materiałów krytycznych zapytaliśmy redaktorów pism regionalnych, aby dopełnić cykl podjęty przez „Kontakty” wiosną 1982 r.: „Jak sobie wyobrażam moje pismo regionalne”. Wypowiadali się w nim dotychczas nasi Czytelnicy, a także Krzysztof Kostyrko, kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, i Klemens Krzyżagórski, przewodniczący Tymczasowego Zarządu Głównego SD PRL. Dziś głos zabiera redaktor naczelny „Tygodnika Ostrołęckiego”, Juliusz Foss.

Jak to się stało? Wydawało się, że normalnie. Przyjechałem o kulach, poszedłem do red. S., byłego kierownika oddziału nie istniejącej „Naszej Trybuny”, z protokołem zdezelowanych ruchomości udałem się do trzech pokoiów. Podpisaliśmy, co trzeba, wziąłem do kieszeni dwie pary kluczy i w pełnej kurtuazji zasiadłem na fotelu. Bo spacerować mnie jeszcze męczyły.

Po piętnastu minutach zadzwonił telefon, że siedzę nielegalnie, że muszę mieć kuratora, bo sprzęt może być rozkradziony, a nawet przepity, że wydawnictwo zobowiązuje red. S. do kontrolowania pomieszczeń i pracy „Tygodnika Ostrołęckiego”, a więc — mimo protokołu — red. S. musi mieć prywatny komplet kluczy. Zaniemówiłem. Z dwóch powodów. Pracuję w RSW ponad dwadzieścia lat, zajmowałem różne stolki urzędowe, niby nazwisko też co nieco znane, a tu masz — znowu jestem jak dziecko. A po drugie: mam tworzyć poważny tygodnik partyjny, pierwszy po wojnie na tym terenie, wszelkie formalności są jeszcze na sufit — nie ma wydawnictwa, drukarni, papieru, nie ma nawet papierkowej decyzji wydawniczej, nie mam nominacji, etatów, formatu, nie mam niczego, poza pięcioletnim społecznym oczeki-

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Kto odda nasze długie?” — odpowiada wicepremier, przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, Janusz Obodowski; „Tango na płycie laminowanej” — o sprawie Aleksandra W., która zbulwersowała mieszkańców Łomżyńskiego; „List do apostoła zdrajcy” i „W odpowiedzi jednemu sprawiedliwemu” — popis polemiczny „advokatów” poezji ludowej; „Zstępowanie do grobu” — o Łomżyniakach — uczestnikach powstania styczniowego. Ponadto: „Duch w łazience”; „Łomżyniana” i inne ciekawostki.

**EGZEKUTYWA KW PZPR ZA-
AKCEPTOWAŁA** harmonogram wdrażania wniosków z Konferencji Wojewódzkiej. Jednocześnie z nich skieruje do władz centralnych — Rady Państwa i Ministra Rolnictwa, w sprawie m.in.: większego przydziału ciągników dla Łomżyńskiego, przyspieszenia zaopatrzenia wsi w wodę, udoskonalenia prawnej działalności gminnej służby rolnej, uruchomienia mechanizmów działania samorządu terytorialnego; piętnastoma zajmie się KW; jedenastce trafi do Wojewody.

Ekzekutywa zleciła rejonowym ośrodkom pracy partyjnej sporządzenie podobnych harmonogramów z konferencji gminnych i miejsko-gminnych. Wyznaczyła ponadto pięć problemów na plenarne posiedzenia KW: zadania dla wojewódzkich organizacji PZPR i ZSL po Wspólnym Plenum, zadania pracy partyjnej w placówkach oświatowych; w zakresie poprawy warunków bhp w zakładach pracy, zadania organizacji partyjnych w administracji państwowej i instytucjach usługowych, oraz ocena realizacji programu WRN w dziedzinie rozwoju kultury fizycznej, sportu i turystyki.

XIV SESJA WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ w Łomży w całości poświęcona została debacie nad Wojewódzkim Planem Rozwoju, Wojewódzkim Funduszem Rozwoju Kultury i budżetem na rok 1983. Podstawowe założenia uchwalonego przez Radę planu zmierzają przede wszystkim do: uzyskania możliwie wysokiego wzrostu produkcji rolniczej, łagodzenia napięć rynkowych zwłaszcza w grupie artykułów podstawowych oraz wzmocnienia wzrostu plac ze wzrostem produkcji i wydajności pracy.

W bieżącym roku rolnictwo łomżyńskie otrzymało: około 1600 ciągników, 60 kombajnów zbożowych i 50 ziemniaczanych, 600 sнопowiazalek, 749 kopaczek ciągnikowych, 780 roztrzaskaczy obornika i poważną ilość sprzętu drobniejszego. Poprawi się znacznie zaopatrzenie w nawozy sztuczne, które wyniesie 132 kilograme NPK na hektar (wobec 120 w roku 1982); nie powinno zabraknąć środków ochrony roślin oraz kwalifikowanego materiału hodowlanego. Na inwestycje rolnicze WRN przeznaczyła prawie 50 procent nakładów będących w jej dyspozycji. Dzięki temu będzie można m.in. zmeliorować 2,8 tys. hektarów użytków rolnych i wybudować dwa wodociągi wiejskie.

W przemyśle plan zakłada wzrost produkcji minimum o 4 procent. Jego wykonanie warunkują: dostawy surowców i pełna obsada stanowisk pracy (np. w ZZPB) oraz lepsza wydajność, organizacja i oszczędność.

Z wielu zadań plan przewiduje m.in.: wybudowanie 2379 mieszkań, w tym 1434 w budownictwie społecznym; kontynuację budowy 6 przedszkoli (Ciechanowice, Wasos, Wysokie Mazowieckie, Łomża), 86 mieszkań dla nauczycieli (Nowe Piekuty, Miastkowo, Wizna, Goniadz, Boguty Panki, Ciechanowice), zbiorczej szkoły gminnej w Rutkach i GOK w Czyżewie; remont kapitalny 30 km dróg państwowych i modernizację 28 km lokalnych.

W budżecie województwa (6667 milionów złotych) aż 46,4 procenta stanowią będą wydatki na oświatę, ochronę zdrowia, opiekę społeczną, sport i turystykę. Uchwalając Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury WRN za najważniejsze uznaje wyposażenie w sprzęt i pomoce dydaktyczne placówek kulturalnych oraz akcje koncertowej dla młodzieży.

W trakcie sesji Rada uzupełniła swój skład o pięciu nowych radnych oraz powołała komisję do spraw samorządów pracowniczych.

KIEROWNICTWO KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ MO spotkało się z przedstawicielami zakładów pracy, wsi i młodzieży w celu poinformowania o stanie ładu i porządku publicznego w województwie oraz zapoznania się z uwagami, spostrzeżeniami i postulatami zgłaszanymi przez społeczeństwo pod adresem organów porządku publicznego. Omawiając miniony rok plk Edmund Jaszewski powiedział m.in. iż nie stwierdzono istnienia antysocjalistycznych ugrupowań politycznych. W 1982 r. prokuratura i MO wszczęły

2681 postępowań przygotowawczych (przy wykrywalności ok. 75,5 proc.). Milicja ujawniła 61.435 wykroczeń. W 1982 r. zmniejszyła się ogólna liczba przestępstw (w porównaniu do 1981 r.), ale o 236 wzrosła ilość przestępstw gospodarczych. Straty spowodowane przestępstwami wyniosły 73 mln 74 tys. złotych, z tego odzyskano 15 mln 586 tys. W ciągu roku MO przeprowadziła 53 akcje kontrolno-represyjne. W 248 wypadkach drogowych zginęło 48 osób (w styczniu br. w 22 wypadkach śmierć poniosło 11 osób). W roku 1982 mieszkańcy województwa spożyli alkohol za 2 mld 827 mln zł (oprócz zakupionego w Pewexie), w przeliczeniu na głowę wynosi to 8623 zł w ciągu roku. W województwie działa 388 punktów sprzedaży alkoholu (o połowę więcej niż w 1981 r.). Stwierdzono 30 przypadków odurzania się środkami narkotyzującymi.

W ubiegłym roku wpłynęły 102 skargi na działania funkcjonariuszy MO (spośród nich 14 potwierdziło się). Ukarano 88 milicjantów, 5 osób wydano do sądu.

Kierownictwo KW MO zaapelowało o większą pomoc społeczeństwa w wykrywaniu przestępstw. Na trzy z popełnionych przestępstw dwóch sprawców wykrywa się przy pomocy obywateli. Pomoc ta powinna polegać nie tylko na uczestnictwie we wspólnych działaniach z MO, ale na wczesnym sygnalizowaniu okoliczności sprzyjających powstawaniu przestępstw. Wkrótce podobne spotkania odbędą się w zakładach pracy i gminach.

SKARGI I WNIOSEKÓW PRACOWNIKÓW Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” wysłuchuje na comiesięcznych dyżurach w Zakładzie I sekretarz KM PZPR oraz prezydent miasta. Wszystkie zebrania partyjne — POP, OOP, KZ PZPR — w „Narwi” mają charakter otwarty. O terminie i tematyce informowana jest cała załoga.

SAMORZĄD PRACOWNICZY Fabryki Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży przychylił się do wniosków załogi i zrzucił premie w przedziale 15 do 25 procent. Dyrekcja zamierza obdzielić wszystkich „na równo”.

W KOLEJCE PO MEBLE oczekuje w Łomży 1008 młodych małżeństw. Jedyny państwowy sklep meblowy przy ul. Wojska Polskiego otrzymuje przeciętnie za ledwie 100-200 zestawów miesięcznie. Najgorszym kontrahentem jest fabryka mebli z Osirowa Mazowieckiego; od maja ubiegłego roku dostarczała 14 segmentów młodzieżowych.

O 13 NOWYCH PLACÓWKACH HANDLOWYCH ZAGĘSI SIĘ w latach 1983-1986 sieć Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego. Najbardziej skorzysta na tym Łomża, której przybędzie m.in. 3 duże pawilony i obszerny dom handlowy. Operatywność Przedsiębiorstwa zwiększy także planowana budowa własnej bazy magazynowej w Jeziorku; w bieżącym roku powstanie tam pierwszy obiekt o powierzchni ok. 1800 metrów kwadratowych.

OZIMINY WYGLĄDAJĄ LEPIEJ niż przed rokiem — informuje Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa UW w Łomży. Rośliny są ponoć mocne i dobrze rozkorzenione. Oby w takiej kondycji dotrwały do prawdziwej wiosny.

14 TYSIĘCY PASAŻERÓW przewożą codziennie autobusy łomżyńskiego Oddziału PKS, pokonując 70 tysięcy kilometrów.

CODZIENNE MUSZA SPOZNIAC się do pracy robotnicy Fabryki Aparatury i Urządzeń Komunalnych, mieszkający we wsi Supy, ponieważ autobus przyjeżdża do Łomży dopiero o godzinie 8.00. Mają też kłopoty z powrotem do domów; jeśli nie zdążą na ostatni kurs o godzinie 16.00 pozostaje im szukanie noclegu w Łomży.

DWUDZIESTOLECIE pracy pedagogicznej, w tym dziesięć lat na stanowisku dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Zambrowie, obchodziła pani Domicela Lewtak. Dotychczas najlepsze życzenia do serdecznych słów licznej rzeszy wychowanków.

TEGOROCZNI ABSOLWENCI szkół podstawowych, decydujący się na naukę zawodu, będą mogli wybierać głównie specjalności związane z budownictwem. Ograniczony zostanie bowiem nabór do szkół kształcących w zawodach: kucharz, sprzedawca, weterynarz. W ramach Zasadniczej Szkoły Drzewnej w Łomży zorganizowany będzie oddział o rzadkiej dziś specjalności: stolarz galanterii drzewnej.

ZALEDWIE 700 mieszkańców Łomżyńskiego może liczyć na otrzymanie w tym roku aparatu telefonicznego i to głównie w Łomży oraz Zambrowie. Nie rozszerzy się też automatyzacja połączeń międzymiastowych.

PIERWSZY w Łomżyńskim Zarząd Gminny ZMW ukończył się w Czyżewie.

POGORZYSZ SIĘ ZAOPATRZENIE w gaz płynny propan-butan w roku bieżącym; już dziś przewiduje się, iż będzie go mniej niż w ubiegłym roku aż o 10 procent. Najbardziej ucierpią na tym gospodarstwo wiejskie, dysponujące zazwyczaj tradycyjnymi trzonami kuchennymi.

NAJLEPSZA SPRZĄTACZKA Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży, Krystyna Klimaszewska, zarabia ponad 12.500 złotych. Maksymalna płaca w Przedsiębiorstwie wynosi 17.300, a minimalna — 5.450 złotych.

ŚLAMAZARNIE PRZEBIEGA REMONT starych budynków. Inwestycyjnego wsparcia wymaga 41 obiektów; w ciągu minionych pięciu lat doczekało się go za ledwie trzy. Największe kłopoty są z czyszczeniem wykwaterniem rodzin.

NA KONSERWACJĘ ZABYTKÓW przeznaczono w bieżącym roku 68 milionów złotych. Pracami objęte są 35 obiektów; znając koszty tego typu robót nie trudno wyliczyć, iż większość zabytów doczeka się co najwyżej zabezpieczenia z papieru czy sporządzenia dokumentacji.

W 15 KLUBACH SPORTOWYCH województwa sport uprawia wycyżnowo 2500 zawodników. Aktualnie 7 zespołów występuje w III i w II lidze.

PRZY WOJEWÓDZKIM ZESPOLE POSELSKIM w Łomży działa punkt konsultacyjny dla organizatorów organów samorządowych zakładów pracy. Punkt czynny jest w każdy wtorek od godz. 10.00 do 12.00 w sali nr 112 Urzędu Wojewódzkiego.

wieści gminne

ZAWADY. • Urząd Gminny w br. wydał 8 pozwoleń na budowę. Od 16 lutego wydane pozwolenie opatrzone będzie zastrzeżeniem, że otrzymujący je nie będzie ubiegał się w gminie o przydział materiałów budowlanych. • Naczelnik nie rozdzielił maszyn rolniczych przydzielonych gminie na I kwartał. Zamierza to uczynić po otrzymaniu całorocznego przydziału. Według informacji Urzędu Wojewódzkiego rozdzielnik znajduje się w gminie w połowie lutego.

• Mimo że drobny sprzęt rolniczy dostępny jest w wolnej sprzedaży, obowiązuje podanie poparte przez Urząd Gminy. • Mieszkańcy Chlebiotek budują szkołę przy finansowej pomocy Zbiorczej Szkoły Gminnej. • Wykonano już podpiwniczenie i parter 8-izbowej szkoły w Targoniach Witach. Szkoła wznoszona jest wyłącznie ze składek mieszkańców. • Przez trzy tygodnie na każdej dostawie trzeba wstrzymać w Zawadach sprzedaż węgla. Tyle się czeka na fakturę. W magazynie GS-u jest też wapno, rozdzielone na między chętnych, ale nie można sprzedać — bo nie ma ceny. Nadszedł transport bełek stalowych, lecz nie wiadomo, czy wszystkim może dysponować gmina — brakuje dokumentów.

GRABOWO. • Mieszkańcy przeznaczyli 153 tys. z FRR na budowę drogi. Pieniądzy wystarczy tylko na nawierzchnię cienkiej warstwy żużla. Urząd Gminy prawdopodobnie udzieli pomocy finansowej i będzie można przywieźć więcej żużla. Chyba że zajdzie konieczność korzystania z pomocy uspołecznionego przewoźnika, któremu trzeba będzie zapłacić więcej niż prywatnemu, wożącemu dotychczas. • Mimo zapewnienia WZIR-u w wojewódzkim planie melioracji na najbliższe 3 lata nie znalazł się 6-kilometrowy odcinek Świny, pozostawiony przez meliorantów w 1981 r. Nieuregulowanie części rzeki jest powodem zalewania ponad 120 ha łąk. • Szkoła, zbudowana w 1947 roku przez mieszkańców Grabowa, od trzech lat stoi pusta i niszczeje. Mieszkańcy chcieliby przejąć budynek w swoje użytkowanie i wykorzystywać ją na potrzeby wsi — wesela, pogrzeby, zebrania. Dyrektor szkoły odmówił prośbie tłumacząc, że przepisy zabraniają wykorzystywania budynków szkolnych na pogrzeby i wesela.

KULESZE KOŚCIELNE. • Rolnicy krytykują decyzję WZSR-u zobowiązującą magazynierów GS-ów do sprzedaży za dostarczoną trzode chlewną wyłącznie koncentrat T. • Od 1956 roku zatrzymują się w Kuleszach pociągi. Problem w tym, że już dawno przestały jeździć punktualnie, a nie ma gdzie na nie czekać, bo do poczekalni zmieszczą się tylko trzy osoby. Podobny problem mają mieszkańcy wsi Wykno Kolonia, którym wichura zniszczyła przystanek. Od kilku lat bezskutecznie proszą pracowników łomżyńskiego oddziału PKS o pomoc w odbudowie poczekalni. • Około 70 rolników zebrali się przed Urzędem Gminy, aby zmusić naczelnika do zajęcia stanowiska w sprawie budowy drogi Kulesze Kościelne — Jablonka. Po mediacji

DOKOŃCZENIE NA STR. 15

zdanie tygodnia

Nie jest jeszcze tak dobrze, jak się pisze i już aż tak źle, jak się mówi.

Stanisław Mienkowski
(członek sekretariatu NK ZSL)

myśl z atestem

Otwieraj umysł równie często, co rozporek.

Julio Cortazar

pytanie drażliwe

— W 1982 r. doszło do nadmiernego wzrostu dochodów ludności. Konsekwencją tego jest zwiększenie inflacji i jeszcze większe rozchwytywanie równowagi rynkowej. Kto ponosi za to odpowiedzialność? — z pytaniem tym zwracamy się do doradcy Wiceprezesa Rady Ministrów, członka prasowego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, Marka Rosińskiego.

— Mówienie o nadmiernych przychodach wywołuje na pewno u większości ludzi, delikatnie mówiąc, zdenerwowanie. Całemu społeczeństwu żyło się w ub. o wiele ciężiej. Prawie każdy dotkliwie odczuł spadek realnych dochodów. Dla tego trzeba przede wszystkim powiedzieć, że określenie „nadmierne” oznacza tylko to, iż „przychody ludności znacznie przewyższają wielkość towarów i usług, które można było w ub. za nie kupić. To po pierwsze.

Po drugie: należy bliżej określić skalę tego zjawiska. Otóż w planie na 1982 r. zakładano, że łączne przychody ludności wyniosą ogółem prawie 3 biliony 100 miliardów złotych. Pozwalało to, przy szacowanej wartości dostaw towarów i usług na zaopatrzenie ludności, zmniejszyć globalnie równowagę rynkową. Tymczasem okazało się, że dochody ludności w ub. były o ponad 300 miliardów wyższe od planowanych, podnosząc wartość towarów i usług, wzrosła tylko o 80 miliardów. Nie wydatkowane z powodu braku pokrycia części dochodów ludności zwiększyła nawis inflacyjny. Na koniec 1982 r. wyniósł on ok. 50 miliardów złotych. Tak więc uchwycenie w wielkim trudem „przechyłki” równowagi pieniężno-rynkowej (w wyniku lotowej reformy cen detalicznych żywności i energii oraz podwyżek cen konsumpcyjnych artykułów przemysłowych) nie zostały uchronione. Staneliśmy przed groźbą szybszej inflacji, zaburzeń na rynku.

I trzecia sprawa — najważniejsza — czyli odpowiedź na zadane pytanie: kto za to odpowiada? W sumie 300 miliardów, które dodatkowo zaczęły na rynek, lwią część stanowią wynagrodzenia za pracę, prawie 190 miliardów! Nie planowany wzrost świadczeń społecznych wyniósł niecały miliard złotych, a przychody ze sprzedaży produktów rolnych — 70 miliardów. Natomiast wstępna analiza wynagrodzeń wskazuje, że zagęszczenie ich wypłat nastąpiło przede wszystkim w IV kwartale, a zwłaszcza w grudniu ub. Co się na to złożyło?

Za wypłaceniem dodatkowych 20 miliardów można by „winę” przypisać rządowi, gdyż o tyle wzrosły wynagrodzenia w jednostkach budżetowych wskutek decyzji podjętych już po uchwaleniu planu. Ok. 40 miliardów stanowiły wypłaty z tytułu wolnych sobót oraz funduszy produkcyjnego w górnictwie (ale tu trzeba pamiętać — udział przepracowanych sobót, w stosunku do innych działów gospodarki, był największy, a także najlepsze były wyniki produkcyjne). Wzrost wartości świadczeń w naturze oraz ekwiwalentów za te świadczenia (z tytułu wzrostu cen) osiągnął 40-50 miliardów. Natomiast pozostałe 90-80 miliardów to skutki wzrostu wypłat w nagrodzenie w sferze materialnej, wynikające z samodzielnego kształtowania wysokości wynagrodzeń w przedsiębiorstwach. Można by więc sformułować tezę, że głównym winowajcą są przedsiębiorstwa oraz mechanizmy reformy gospodarczej. Ponieważ, jak to bywa w życiu, nikt nie chce być winny, co pewnego czasu można zaobserwować: przerzucanie odpowiedzialności przy pomocy metod ze sztuki „kolęga”.

Menadżerowie przemysłu twierdzą, że trudno im mieć za złe wykorzystywanie — zgodnie z obowiązującymi przepisami — możliwości poprawy warunków płacowych załóg zakładów. Specjaliści od reformy argumentują, że wbrew tendencjom i doraźnym intencjom rolniczymi przedsiębiorstw i pracowników. Tymczasem fakt jest faktem. — pod koniec ub. i na początku bieżącego w wielu przedsiębiorstwach wypłacano kilkunasto — a nawet kilkudziesięciotysięczne nagrody i premie za osiągnięcia w I półroczu 1982 (a więc za okres, w którym produkcja spadła na lewo i w prawo) oraz że, wbrew przyjętym założeniom, nie udało się zapewnić ściślejszego powiązania przyrostu wynagrodzeń z wzrostem produkcji i efektywności pracy.

Obecnie sprawą najważniejszą musi być wyciągnięcie odpowiedzialności wniosków. Przez wszystkich. Wiele z tych wniosków jest zawartych w, opracowywanych wstępnie, programie antyinflacyjnym. Kuracja antyinflacyjna w żadnym kraju i nigdy nie należała do przyjemnych. Chodzi jednak o to, by gorzki smak lekarstwa odczuwali nie tylko ludzie pracy, lecz wszyscy, którzy za gospodarkę ponoszą mniejszą lub większą odpowiedzialność.

gościli w Łomży

Ireneusz Darmochwał, wicedyrektor Departamentu Kadr Ministerstwa Sprawiedliwości — uczestniczył w konferencji sędziów orzekających okręgu łomżyńskiego, poświęconej zagadnieniom ideologicznym; Witold Zamecki, redaktor „Oświaty i Wychowania” inaugurował działalność klubu „Ideologia-Narok-Człowiek” wykładem na temat: „Stosunek państwa socjalistycznego do światopoglądu i religii obywateli”. Ludwik Ochocki, zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — uczestniczył w XIV Sesji WRN.



waniem, rozmową władz województwa z szefostwem RSW, akceptacją programu ambitnego tygodnika i zapewnieniem, że właśnie ja spośród bodaj pięciu kandydatów mam zająć robotę.

Ten kwadrans namysłu po telefonie zadecydował o wszystkim: o modelu pisma, o sposobie bycia, o koncepcji redaktorskiej, o stosunku do problemów i ludzi. Chcę bowiem przypomnieć, że jestem zawsze reporterem, co znaczy, że moim obowiązkiem zawodowym jest rzetelność, prawdziwość, umiejętność rekonstrukcji zdarzeń i faktów, przewidywania następstw oraz docierania do kulis naszej wspaniałej rzeczywistości. Wieg siadłem i wyobraziłem sobie, co to znaczy, że naczelny in spe zostaje postawiony w sytuacji, w której nie może pisać słowa, bo przecież formalnie go nie ma, ale w małym miasteczku już mieszka, działa, a w dodatku musi to robić wyłącznie na osobiste słowo honoru? Jakże cięgi myślowe musiały poprzedzać ten mój kaleki przysiad za biurkiem naczelnego, jeśli w tradycji miejscowej prasy klucz do własnej redakcji jest atrybutem stabilizacji i pewności siebie o każdej porze, zaś kuratorem z ramienia RSW — pracownikiem agencji prasowej? Jakże spekulacje musiały zaistnieć, że po kwadransie sam dyrektor głównego wydawnictwa RSW musiał zapytać: „Co wy tam za afery robicie?”

To był kubał wody! Klucz oddałem, pismo dyrekcji wydawnictwa (usprawiedliwiający kuratora) przeczytałem, a sprawa wyjaśniła się po trzech miesiącach, kiedy już miałem drukarnię, objętość, zmianę wydawnictwa na życiowe, termin ukazania się pierwszego numeru. Otóż spuśmy zasłone milczenia nad sceną, w której moje wydawnictwo przejmowało z rąk kuratora i obecnego wydawnictwa liście spręży! Śmiechu było co niemiarą, ale z tego śmiechu w każdej chwili mogła wybieć groza. Groza układu! Tego samego, który przez siedem lat blokował inicjatywę wydania pisma w województwie ostrołęckim, pięć lat bronił się przed podzieleniem losu innych województw, które i tygodnik wydały, trzy lata robił z tego hocki-klocki, a teraz, w lipcu 1982 r., rzekomo w dziewięć miesięcy po decyzji wydawniczej, nie mógł pokazać żadnego papierka, w którym byłby ślad dobrej woli, zaś biednego naczelnego (składnąc czasowego kalekę o kulach) kazał czterokrotnie odprawiać spod drzwi, mimo że nieśmiało pytanie brzmiało całkiem niewinnie: „Na czym ja, czyli „Tygodnik Ostrołęcki”, stoi?” Czyli: jakie jest to zero, od którego powinienem, zgodnie z decyzją Komitetu Wojewódzkiego, zacząć?

To się nie mieści w głowie i nigdy nie powtórzy, albowiem „Tygodnik Ostrołęcki” ukazał się jako ostatni partyjny tygodnik wojewódzki na mapie kraju!

Więc siedziałem kwadrans skoncentrowany na jednej myśli: co jest grane i jak powinien zagrać naczelny, żeby wykonać partyjne ustalenia? Był stan wojenny, cała prasa na cenzurowanym, rosła waga rzetelnej dokumentacji, a ja do słowa honoru towarzysza Henryka Szablaka, I sekretarza KW, mogłem dołączyć tylko swoje własne, skromne słowo honoru. I trochę doświadczenia w zawodzie, a także — wiem, będzie to zaskoczeniem — perfekcję w „te klocki”!

Było to dokładnie 14 lipca 1982 roku o godzinie 10.00. Numer pierwszy tygodnika ukazał się z datą 17 października, materiały do niego wytrzymały próbę trzech miesięcy w teczkach redakcyjnej, trzykrotną decyzję zaczynania od numeru próbnego (potem cofaną), byskawiczną ocenę Zarządu Głównego, w której pochwalono mnie osobiście w ten sposób: „Nie wiem, czy najskrytszym marzeniem blisko 100 tysięcy mieszkańców województwa ostrołęckiego było posiadanie własnej gazety. Jeśli tak — została nią uszczęśliwieni 17 października 1982 roku. Data ta jest wydrukowana na pierwszym numerze „Tygodnika Ostrołęckiego”, pisma kosztującego jedynie 10 zł, firmowanego przez PZPR i adresowanego... No właśnie, do kogo? Redaktor Juliusz Foss w artykule wstępnym, mającym być najprawdopodobniej deklaracją ideową gazety, snuje rozważania o tym, co wynika ze słowa generała W. Jaruzelskiego: „[...] rząd pracuje dzisiaj przy otwartej kur-

tynie. Wyliczanka jest długa, sensowna, ideologicznie zgodna i... bezosobowa. Kierowana jest do każdego obywatela PRL i nadaje się doskonale do odczytywania na masówkach lub -szkoleniach partyjnych. Chwała mu za to!”

„Wydaje się jednak” — zaczyna następny akapit autor oceny i pisze, co mu się wydaje. A nie wydaje mu się prawie nic, chociaż przyznaje, że można mieć nadzieję, iż jest to „przejściowo”. W zupełnie poważnych rozmowach dodano do tego, że za... aniołkami mogą nie być naczelny. Istotnie — przy wierszach niejakiego Makarewicza narysowany był osobnik ze skrzydłami, o twarzy puci-puci i bez odzieży, trzymający w rękach niebieskie wstęgi w kierunku chmur, gwiazd i wierszy. W ostatniej takiej uwadze warszawskiego szczebla, wysłuchanej na schodach redakcji, nie wytrzymałem i wypaliłem: „Znacie się na aniołkach?”. „No wiecie!” „Wiem, że anioły, czyli te wszystkie cherubiny i serafiny, są pozbawione płci. A nasz aniołek ma po rządowego kutasika”. „Pokażcie”. Przy słuchający się członkowie zespołu rzucili się w kierunku sterty papierów i wyciągnęli *corpus delicti*. Był „Aniołek z kutasikiem” — wypaliłem w pełnej ciszy, po której... wybuchł już tylko śmiech. Wśród ogólnego poczucia humoru wysnuiliśmy (już wspólnie) z tego wnioszek, że po raz pierwszy w historii prasy polskiej naczelnego ratował kutasik.

Ale cóż ja zawińłem? „Proponujemy Wam, Czytelnicy, trudne pismo. Trudne dla nas. Chcemy towarzyszyć Waszym myślom i wątpliwościom, kłopotom i sukcesom, radościom i smutom. Słowem rozterkom. Waszym dyskusjom i — Waszemu życiu [...] Chcemy w Waszym imieniu być wszędzie tam, gdzie dzieje się coś dobrego, zmieniającego nasze życie na lepsze [...] gdzie prywatnie, sobkostwo, lenistwo, biurokracizm czy zwykające zło — dziejstwo przynosi nam wszystkim szkody, działając nie tylko wbrew naszym ideom, ale i zdrowemu rozsądkowi.” I tak dalej. Drugi recenzent przykłada mi więc, że numer pierwszy (a więc ten trzymany w lodówce trzy miesiące i przygotowany na Dzień Nauczyciela, aby nikomu nie myliła się data ukazania się pierwszego numeru i trudno było ją odłożyć *ad acta*) odbiega od tych zamierzeń „dość znacznie” i że „może to sprawić wrażenie ucieczki od rzeczywistości”.

Uff! Rzuciłem te felietony do kosza. Co było w numerze? Rozmowa z kuratorem, tekst nauczycielki o

Jak rozproszdzić to pismo z Ciechanowa?

— Tylko przez Warszawę — usłyszeliśmy odpowiedź. — Tam jest plan kolportażu centralnego.

— Czy nie można tego planu przewieźć do Ciechanowa? — Wydawało się nam, że łatwiej przenieść kartkę niż cały nakład. Otóż nie, kartka jest jakby przysrubowana i nie do ruszenia; część nakładu do dzisiaj idzie przez stolicę (250 kilometrów zamiast 80) i dobrze, jeśli trafi do kiosków na poniedziałek, chociaż druk jest gotów w środę. Ale za to udaje się przewieźć prawie połowę nakładu prosto do Ostrołęki — żeby chociaż władze nie czekały...

W przeddzień ukazania się numeru odbyła się znamienita rozmowa: — No to będzie numer? Bo mówią, że nie wiadomo. Jeśli będzie, zapowiadamy konstruktywną krytykę. Może pojutrze?

Było piękne słońce, staliśmy na ulicy, udawaliśmy powagę. Redakcja nie miała jednego krzesła, wypożyczone maszyny, na drzwiach — kartkę z zeszytu z napisem: „Tygodnik Ostrołęcki”. Nie było papieru do maszyn, spinacze — w drodze, ludzie dwa miesiące pracowali bez grosza, walki o formalne przejście do redakcji szły na całego.

— Konstruktywna krytyka najbardziej pomaga... — zabrzmiło jak oświadczenie. Byliśmy w domu.

Ta „zdrowa tendencja” towarzyszy nam do dzisiaj. Była radość pierwszego numeru, potem drugiego, potem dalszych. Zwroty — dwa tysiące, trzy, prawie cztery! Jasne, poniżej normy, czyli 30 procent! Ale powoli z kokonu przeróżnych dyskusji, tekstów, ludzkiego wysiłku wyłaziła — ledwo ukształtowana — prawda: ludzie czekali na swoje pismo. W 11 numerze zwrotów praktycznie nie było, ale to święta. Nowy Rok przyniósł podwyższenie nakładu. Zwroty, najpierw poniżej tysiąca, nagle liczyło się na kilkadziesiąt, no — trzy, cztery setki. Okazało się, że inżynier meliorant jest dobrym reporterem, dwie nauczycielki — rzetelnymi dziennikarzami, student — wręcz pistoletem, subtelny eseista — autorem oraz opiekunem drukarni, wykwalifikowana dokumentalistka — sekretarzem redakcji, kierowca — nieformalnym zastępcą naczelnego, zaś gwiazdami publicystyki: prezes spółdzielni mieszkaniowej, dwaj miejscy sekretarze partii, nauczyciel chemii, historyk, działacz kultury, a nawet student z Wrocławia.

Piszą też sami Czytelnicy, do piętnastu listów merytorycznych i nawet dwustu innych dziennik

ko, jak się z redakcji wychodzi. Niebawem znam plotkę: no to się doigrali, generał będzie interweniował! Drukuję sprostowanie do trystonowego tekstu na pięć stron. W sprostowaniu jest atak na reportera, sąsiada, spółdzielnię mieszkaniową i etykę „Tygodnika”. Po miesiącu odpowiada sąsiad — cytując dokumenty; odpowiada spółdzielnia — cytując dokumenty. Człowiek „od wicepremiera” broni własnej, niezgodnej z prawem, sprawy! Bierze na krzyk całe województwo! Docierają do mnie pokatne interwencje, żeby nie drukować tych listów. Zeby w ogóle listów nie drukować. Ba! Ale tu jesteśmy w domu. Uchwała sekretariatu KC PZPR zobowiązuje do ochrony dziennikarzy ściganych za krytykę prasową. To jedyny mój argument. Ponadto mogę się zasłonić interesem społecznym. Ale czy jest to argument dla urzędnika?

Pismo siedzi okrakiem na głównym nurcie naszych spraw — na idei porozumienia, czyli PRON-ie, na inicjatywach partyjnych, młodzieżowych i społecznych, na kulturze i historii, jakże u nas bogatej; na twórczości w regionie, czyli grupie literackiej „Narew” i młodych twórcach z Przasnysza, Wyszkowa i Ostrowi. Przedstawiamy zasłużonych i debiutantów. Dodajemy do ich wierszy i prozy piękne ilustracje Sokoll. I tu naraz skandal — rozdzwoniły się telefony, poszła stugębna plotka o zgorszeniu po publikacji fragmentu prozy Edwarda Kupiszewskiego! Plotka dotarła do stolicy, a może i dalej. Panie Dulskie grzmiąły: przecież dziecko odrzucił wkładkę „Maciusia” i zajmie się tym bezceństwem! Zgorszone poczuły się niektóre ważne damy. Smutek autora i redakcji, że taki (niewinny) tekst nie sprawił przyjemności, był tak wielki, że napisaliśmy do siebie listy. Dowcipne, ale ujawniające obłudę i pruderię.

Siedzimy okrakiem, nie schodzimy z tej barykady, bo dużo trzeba zmienić: warunki w szpitalu wojewódzkim i w ogóle służbie zdrowia, w urzędach i GS-ach, w środowisku naturalnym i wśród ludzi. Trzeba walczyć ze złem, stać po stronie ludzi rzetelnej pracy i mieć charakter, a więc nie dać się zjeść w walce podjazdowej o... piętuszkę.

Działamy także przy otwartej kurtynie; to zawołanie, tak dziwiące nie tylko recenzentów na naszych łamach, w Polsce stało się rzetelnym obyczajem. Przecież nie przypadkiem, nie dzięki nam. My tylko idziemy tym śladem, ponieważ przy otwartej kurtynie widać wszystko — prawosć, rzetelność, mądrość, skuteczność, ale i draństwo, świństwo, niemożność, kombinację. Więc podnosimy kurtynę i tak rozumiemy naszą służbę społeczną.

Zrobiliśmy ledwo pierwsze kroki. Adepci stali się z dnia na dzień dziennikarzami, drukarze mają możliwość robić offset na offecie (a nie typografię w „warunkach offsetowych”), czytelnicy uczą się czytać własne pismo.

Jedynie życzenia dostaliśmy z Łomży — przyjacielskie z „Kontaktów”; jedyne udokumentowane życzenia, jakie dotąd otrzymaliśmy. Więc resztę życzymy sobie sami — krótko: abyśmy wytrzymali powodzenie u Czytelników. Bo, wiecie, jeśli Antka kobity brat, a nie daj Boże jego szwagier, coś tam wymyśli... Lepiej nie mówić!

I tak zakończył się ten ostatni w Polsce eksperyment — obdarzenie województwa pierwszym w jego historii pismem. Sekretarz Szablak powiedział nawet publicznie, że tego też się trzeba uczyć, i jest to do dzisiaj dyrektywa partyjna, chociaż — jak widać — uczniowie bywają zdolniejsi i jest ich grubo ponad nakładem siedemnaście tysięcy, a bywają też mniej zdolni; jest ich może kilkunastu, może kilkudziesięciu.

Dlaczego więc zajazd? Ano, bez powodu. Bo to tylko ja „zajechałem do Ostrołęki”, żeby znaleźć tu miejsce na ziemi — dla głupiego programu życiowego (kto mądry, męczy się o cudzą sprawę?), kilku książek, wielkiej miłości i Narwi, pysznej puszczy, wielu wspaniałych ludzi, których tu dopiero poznałem.

A może jest to naprawdę ostatni Zajazd na Kurpiach? I jeden kwadrans w dniu 14 lipca 1982 roku między godziną 10.15 a 10.30 zmusił mnie do wyboru: albo pogodzić się z losem i pływać w tej mętnej wodzie, albo walczyć, aby coś zmieniło się na lepsze? No, ale jeśli to tylko od nas zależy — jednego dziennikarza, kilkunastu debiutantów i tysięcy Czytelników — dlaczego nie zjechać!



nauczycielach naszych marzeń, fotoreportaż o pięknej parze emerytów malujących amatorsko, reportaż o przykutym do łózka doktorze Bartniczaku, który pracę doktorską i badania historyczne w regionie Ostrowi Mazowieckiej robi jakby lepiej niż najzdrowsi ludzie w okolicy, pierwsza wkładka dla dzieci w formie osobnego pisma, pamiętniki kierownika tajnej oświaty na tym terenie, dobra rozrywka. No i offset. To nie, że druk rozpoczyna się w Warszawie, na Okopowej, chemię robi się w Ciechanowie i tam drukuje. Ale za to jakie możliwości! Możliwości?

Pierwsza rozmowa w drukarni — z dyrektorem. Taka sobie, sondażowa. Był plastyk i pisarz, Zdzisław Nowak z Warszawy, ostrołęcki Leszek Sokoll, były drukarz i eseista Wojciech Woźniak. Pytaliśmy np. czy duplex może iść na okładkę.

— Wykluczone! Nie ma materiału. Co to w ogóle za obyczaje?! — wykrzyknął dyrektor, uciekł od stolika za biurko, demonstrował, że jesteśmy powietrzem.

Konsternacja. Ale wykazaliśmy przytomność umysłu; kierowca pojechał z kartką i przywiózł z domu zastępcę dyrektora w ciągu kwadransu. Znalazło się ogólne zrozumienie, że duplex nie pochodzi od dupy, lecz jest dwubarwną reprodukcją. Dostaliśmy duplex!

Drzwi się nie zamykają — ludzie przychodzą ze swymi sprawami, wielkimi i małymi, poważnymi i zupełnie śmiesznymi. To osobna historia. Docierają do redakcji jako objawy życia. Różnego życia. Na przykład — dzwoni telefon. Władczy głos zapowiada: jestem taki i taki kierownik, czy sądzicie, że na kolumnę siódmą powinno być wejście to zdjęcie, a nie spotkanie kobiet? „Sądzę” — odpowiadam. „To nie mamy o czym rozmawiać!” — mówi głos i, zamiast wykrzyknika, rozlega się trzask rzuconej słuchawki. Albo przyjeżdża utytułowana delegacja z gminy: „Wiemy, że będzie u was tekst. Proszę go zjąć”. „Bardzo mi miło poznać, ale tekst będzie na łamach, a panowie mogą publikować polemikę, wypowiedź, co chcecie.” „No to my tu jeszcze wrócimy!” — mówi delegacja i chodzą cały dzień po mieście, aby znaleźć kogoś mocniejszego. Potem powstaje plotka, że naczelny wyrzuca za drzwi poważnych obywateli.

Jeszcze inna scenka. „Jestem taki a taki, moim zwierzchnikiem jest wicepremier, wiecie, a generał...” „O co chodzi?” — pytam. „Jak to, dzwoniłem do redakcji w Warszawie, byłem u kolegów w Urzędzie Wojewódzkim, domagam się sprostowania. Inaczej pójdę do sądu.” „Proszę zostawić sprostowanie, dziękuję panu!” — pokazuję elegan-

słowo w opałach



W kręgu staneł. Gęby znajome, swojskie, że ręce wyciągnąć przysługując, uściskać, śmiech... rzyknął: hej! — co wy — co wy? A on, sztywni, nakrochmaleni smutni. I Jegomość z kądzielą już podchodzi. No! To kto? Wicia! Wicia zdradca-urwipole! Oj, ty niemoto, to ciebie dunder nie świsnął? To ty mnie — kiedy ja w ciebie jak w żrenicę, karteczkę skrobną: „Droga Ty Moja, Ojczyzna mnie woła” — z kofatką w głowie zostawił, do Legionów popędził, na oko więcej nie naszedł, a teraz krakać przybieżył? Oj, jak ja tobie tę laseczkę z ręki, jak ja tobie tę laseczkę szastnę! Oj, Wicia, Wicia! A Wicia sztywni, nakrochmalony, laseczką podparty, wieniec dzierżący, głową smutnie kiwa. No, ale i Jegomość dukaninę kończy, za chwilę grudkę ziemi szast-prast i po wszystkim.

— Koniec — mówi Babula — bo wiadomo, że nim Dobrodziej ziemią trumienkę posypie, ten, co w niej sobie leży, widzi wszystko i słyszy.

I wtedy stała się rzecz dziwna. Dobrodziej szpadkę wbił, ziemią nagarnął rzetelnie, sypnął a ona to widzi. Przy Wici stoi i patrzy! Wicia, mowi, urwisie, gdzie żeś ty się podziewał? I pryg go łokciem pod żebro, jak dawniej. A on nic. Sztywny, smutno łbem podryca. Wicia niemoto, woła. A on siwym łbem jak wahadło. Oj, durny, to ty do mnie starym próchnem wróci! Drewnem bez soków! Osiką drzącą! Oj, jak ja zeżłi! Pchnęła więc Wicię, pchnęła Jegomościa, przed wszystkimi stanęła i krzyczy: „No i koniec! Śmiać nam się, bo i z tej opresji ja wyszła”. A oni nic. Jakby jej nie było. Ba! Grabarze za postronki wzięli, krąg się zaciesnia do dołu ją pchają. „Ludzie, co wy. Ania, Rysiu, potrzeby nie ma — tu ja jestem”. A grabarze buch-buch rzetelne łopaty, a oni w płacz. To wy sobie, myśli, tę uroczystość urządzili, nie mnie. To adie! Przepchnęła się za krąg, pędem ścieżyną do drogi.

— Tak i w dzień, kiedy mnie się ten dziwny pogrzeb własny przyśnił, list jest od Ani i Ryska. „Babula — piszą — przyjeżdż jak najszybciej. Rysiu szesnastego wyjeżdża”. Na śmierć, myślę, bo obraz z nocy mi w głowie, mam jechać. Ale przecież nie śmierć to była. Toż spod łopaty ja tam uciekła. Oj, dumam, nie jest to zły znak.

Więc co? Waliza, torba, torebka i w drugi dzień, z rana; dzyń, dzyń, melduje się w tej klatce. I teraz mieszkania pilnuje: Ania na czwartym roku germanistyki w Warszawie, Rysiu dostał zgodę na USA i poleciał „Lotem” z walizką na zielone, żeby się urządzić. A jest co: dwa pokoje z kuchnią, łazienką, ubikacją, ściany ledwo pobiałkowane, zgnięta zieleni płytek pod stopą, a z mebli ława, dwa puffy, tapczanik, szafa. I po paradyzie. Czyli i pilnować czego za bardzo nie ma, gdyby nie słowo „pustostan”, gdyby władza nie przypatrywała się tak dokładnie mieszkaniom „Amerykańców”. Stracić łatwo, zyskać trudno, więc Babula siedzi sama w dwóch pustych pokojach, krąży po kuchni, świadczy, że meldunkowo się tu żyje. Krąży i powoli zaczyna się złościć. Bo jest, a jakby jej nie było.

— W Wilnie wieczór w wieczór nachodzili całym kramem, radosno na sercu było.

Po wojnie, we Wrocławiu, też nie było najgorzej. „Uszanowanie pani” na każdym kroku, „dzień dobry”, a tu, klatkę schodową przechodząc niektórzy ani me, ani be. Biegłem co dwa stopnie, głowa spuszczone i byle szybciej gmernąć w zamku, zatrzaskać drzwi za sobą.

A Babula lubi się pośmiać, facejki posłuchać, herbatkę w towarzystwie wypić.

— Chwileczkę — podrywa się — Nastawię wodę.

— Nie, dziękuję, proszę opowiadać.

— Ej, gdyby ja dwadzieścia lat miała, to i pięć herbatek by wypiił? — strzela „perskie”. — Szkoda, no szkoda, że nie ma, co?

No nie ma z kim herbaty nawet wypić. A przecież i co mocniejszego nie grzech. Ale cóż. Starzyzny, mowi, ma dość w sobie, na nic jej znajomości z rajsłymi wspominkami, ze starym kinem w albumie, więc nawet ich nie szuka. A młodzi pedzł! Po dwa stopnie, z głową spuszczone, zamyśleni, z zaciśniętymi ustami. A przecież jej, jeżeli już, to do młodych: wesoło, głowa do góry, nie pękać, jak posłyszala w rozmowie dwóch tycich sruli z sąsiedztwa. Kiedyś zastukała więc pod „dwój-

kę”: „Cukru, zlotko moje, zabrakło mnie trochę”. Zlotko pospiesznie, na stojąco w przedpokoju, wręczyło jej kilo. Gdy wróciła do siebie, spuściła je całe ze złości do sedesu: nie cukru jej, głupiotkie zlotko, potrzeba. Za kilka dni wsadziła do kieszeni kawę, a cukier pod pachę. „Proszę postawić na stoliku w przedpokoju — mignęła z kuchni blond czupryna i znikła.

A niech was! Ale Babula nie pęka. Po mieście pochodzi, do kina pójdzie, prasę poczyta książkę, a wieczorem sobie zanuci: „Co mi tam”. Nigdy wspominkowo. Ba, nawet myśli z Wicią odpędziła. Wnę — czuj zdrowy duch! I jest to najwzrostniejsza prawda.

W „dwójce”, pod blond czupryną, zmęczone oczy pomija — cera: pani Jasia pracuje na zmiany i jeszcze — kuchnia, kolejki, pranie, przedszkole. Pani Jasia ma prawie trzydzieści lat. Pan Piotr, mąż pani Jasii, ma trzydzieści trzy i spi, gdyż się zharował w robocie. Zostaje w niej ostatnio coraz dłużej. Bo proszę policzyć: dwoje dzieci, ich dwoje, sto pięćdziesiąt tysięcy długu na emem, sześćdziesiąt pięć u brata — kilka w kasie zakładowej. Wystar-

WŁADYSŁAW TOCKI

Klatka

czy? To gdzie im czas i w głowie kino, wizyty, herbatki. Zresztą, są nowi, nikogo nie znają.

— Ja to nawet nie bardzo wiem, kto mieszka obok nas, na parterze.

— Babcia.

— A, Babcia. Była kiedyś po sól czy po makę.

— Po cukier.

— Po cukier? Skąd pan wie? Może i po cukier.

Tak w ogóle to rodzina czasem przyjeżdża, na imieniny; posiedzi się wtedy, pogada, w niedzielę odepi.

— Najprzyjemniejsze jest przebudzenie: dokoła własne ściany!

Minęło już kilkanaście miesięcy, gdy opuścili poddasze u szwagra, a ściany ciągle cieszą. No bo i nie takie gołe już one. O, tapety, meblóścianka, ława, dwa puffy, palma, która tu dopiero ruszyła jak na drogach.

— Żyje się — uśmiecha się pani Jasia.

W „trójce” — „J. W. Kijowscy”. I cisza. Naciskam natęczywiej, dzwonek jak dzwonek, lecz nikt nie odpowiada. — Ja ich chyba raz widziałam — mówi pani Jasia przez uchylone drzwi. — Ona miała śliczne kozaczki.

— Też młodzi?

— No, chyba — zastanawia się



pani Jasia. — Chyba też. Wtedy za patrzyłam się na te buty. że nawet dokładnie nie wiem.

Hop, pierwsze piętro.

W „czwórce” pod blond czupryną, także zmęczone oczy pani Ewa jest polonistka i ciągle ślepy na zeszyty. Do tego kuchnia, kolejka, pranie, przedszkole. Pani Ewa ma trzydzieści trzy lata. Pan Janusz, mąż pani Ewy, poszedł pomagać bratu w stolarni. Dorabia. Bo proszę policzyć jedno dziecko, ich dwoje, je, jej osiem tysięcy kilkadziesiąt złotych, jego dziewięć z groszami, sto dwadzieścia tysięcy długu w różnych źródłach. Wystarczy? To edzie im w głowie wizyty, wieczorne herbatki. Do kina, owszem, da od czasu do czasu, jak jest „bomba”. Prę się jeszcze zdąży przeczytać. I to wszystko. Zresztą, są tu nowi, nikogo nie znają.

— Gdy mijam się z kims na klatce, mówię „dzień dobry”. Na wszelki wypadek, choć czasami okazuje się, że to goście, rodzina wpadła do kogoś.

„Dzień dobry” to grzecznościowość, ale ich do sąsiedzkich posiadłości nie ciągnie. Najlepiej na uboczny nikt o tobie nie wie, a i komuś nie ma się co w życie wieszać. Poza tym teraz najpierw muszą uregulować wszystkie minusy, potem warto by pomyśleć o jakimś maluchu. Pojechałoby się w niedzielę do lasu, nad rzekę. Za parę lat powinni dojść do tego. Bo mieszkanie już nie takie gołe, o: tapeta, meblóścianka, ława, fotele, puffy, paproć dobra na niekorzystne ładunki jonowe, rogówka. Żyje się.

Oczko wyżej, pod czarnym kręgiem warkocza, podpuchnięte oczy: pani Irena jest na wychowawczym, mała Dora nie dała jej spać przez całą noc. A tu jeszcze kuchnia, pieluchy, kolejka. Pani Irena ma dwadzieścia sześć lat. Pan Edek, mąż pani Ireny, trzydzieści dwa. Jest w domu, ma zwolnienie na przycięnięty dźwigiem palec. Trzy dni. Teraz podobno takie zwolnienia mają pięćdziesiąt procent. A tu — tak nie jest lekko. Bo proszę policzyć: dwoje dzieci, setka w czekach na emem wprowadzić niemal nie naruszona, ale z pewnością pójdzie, raty na pożyczkę mieszkaniową, no i pan Edek, przynajmniej z kumplami raz w miesiącu wołać na piwo. Wystarczy? Więc gdzie nie chodzą. Kina i tak nie lubią. Jest telewizor, a wieczorne wizyty gdzie? Dawny znajomi w drugim końcu miasta, tu właściwie nie znają nikogo.

— No, poza tymi za ścianą — uśmiecha się pan Edek. — Ze słyszenia, he, he. Jak tylko film w telewizorze się skończy, oni od razu skrzyp-skrzyp na całego. A ona po chwili wdycha i jęczy, aż człowiek w krzyżu mrowi.

— Mrowi, mrowi. To on musi być taki dobry — ucina pani Irena.

— Dobry — prychna pan Edek. — To leć, może i tobie dogodzi.

Milkną oboje.

— Porozmawiaj z panem — podnosi się pan Edek. — Mam robotę. Podnosi się i pani Irena. Podnoszą się i ja.

Pod „szóstką” spod kędzierzawej grzywki... Cztery osoby, trzysta tysięcy do tyłu, ale trabant pod oknem. Praca — dom. Dom: duży pokój, długi przedpokój. Tapeta, meblóścianka, ława... Żyje się.

Pod „siódmką” spod... Trzy osoby. Minus sto pięćdziesiąt tysięcy. Duży pokój... Tapeta... Żyje się.

Pod „ósemką”... Żyje się.

Oczko wyżej. Dzwonek głuchy jak stary pies. Drzwi, bez powszechnie metalowej wizytówki, ustępują po lekkim pchnięciu. Cztery kroki do przodu — otwarte drzwi. Na podłodze meżczyzna. Słuchawki na uszach, obok pionowo ustawiony magnetofon „Aria”. Cisza. Palec na ustach: tssst! Gest — „siadaj”. I znówu głowa w rytmicznym wybijaniu taktu. Pięć minut, dziesięć. Podnoszą się. Silniejsze kiwnięcie głową. To do mnie. Uśmiech, wyciągnięta dłoń. Podaje swoją. Skręt w prawo, cztery kroki i cicho zamykam drzwi.

Hop, hop — „siódmka”, „szóstka”, „piątka”... „J. W. Kijowscy”, Babula. Skok i — świeże powietrze. W przelocie przybijam jeszcze tabliczkę nad wejściem:

„Ul. Cz. Tatka-Latka 1
Klatka A
Tu się żyje. Nie przeszkadzać!”

Fot. GABOR LÖRINCZY



ziemia niczyja

Każde drzewko w osiedlu kosztowało Spółdzielnię 150 złotych, krzew (przeciętnie) 60, a każdy kwintal trawy — aż 10 000 złotych. Jeśli zniszczysz je, Spółdzielnia będzie musiała zieleni rekultywować i zabraknie jej pieniędzy na co innego. Kalkulacja jest tu analogiczna do tej, jaką przeprowadzamy codziennie we własnym budżecie domowym: jeśli zepsuję odkurzacz, będę musiała kupić nowy kosztem pozostałych dóbr. Rzadko kto z lokatorów rozumie ideę spółdzielczości. W myśl jedynej jasnej dla nich formy własności — indywidualnej — powtarzają: „Nie moje znaczy — niczyje”.

Dlatego mądrym posunięciem prezesa Zarządu Łomżyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Franciszka Poredy, było oddanie pod opiekę mieszkańcom osiedli ogródków podblokowych. Lecz pozostało jeszcze sporo terenów „niczych”, których dewastacja nijak nie chce się lokatorom kojarzyć z umniejszaniem kwoty na usługi (naprawy w mieszkaniach, instalowanie urządzeń i zapewnienie części do nich) i remonty budynków (dachów, klatek schodowych czy piwnic).

Czas niweluje różnice pochodzeniowe ludzi; poznają się (choćby przelotnie), podpatrują nawzajem i korygują swoje zachowania. Dlatego w starszych osiedlach, po latach wysiłków Spółdzielni, widać już trwałość zagospodarowania placów zabaw i terenów zielonych. Górka Zawadzka nie dopracowała się jeszcze żadnego prawdziwego trawnika ani — choćby rocznego — drzewka czy krzewu. Dewastują, oczywiście, dzieci, ale za czym przyzwoleniem?

— Nie wiem, czy uda nam się kiedy wychować dorosłych mieszkańców tego osiedla — mówi Franciszek Poreda. — Jeśli nie rozumieją, że niszczą własne pieniądze, zdrowie i przyjemność życia w zieleni, to „wyjaśnić” im to mogą tylko mandaty. Nawet nasz dzielnicowy zobowiązał się na wiosennym zebraniu samorządu osiedlowego do takiej formy współpracy z nami, ale jej efektów nie widać. Zabraliśmy się natomiast do wychowywania dzieci i młodzieży. Chciałoby się mieć w tym osiedlu dom kultury z różnymi sekcjami i salą widowiskową, ale środków brak. Musimy go zastąpić kółkami zainteresowań. Rzeczywiście Spółdzielnia przy końcu ub.r. wpadła w trans inauguracji. Oficjalnie otworzyła wówczas kluby: krótkofalarski i modelarski (nieoficjalnie istniały już dwa lata) oraz strzelecki, a także świetlicę i kawiarnię. Tak się w tym inicjowaniu zapamiętała, że pracownię fotograficzną w Jantarze otworzyła po raz drugi, i to w czasie, kiedy zaproszeni goście czekali (ponad godzinę) pod drzwiami świetlicy, a inni, mniej na strąkę czasu wytrzymali, pobiegli uoficjalnie istnienie kawiarni.

Norma powierzchni przeznaczona na tzw. działalność społeczno-wychowawczą, ustanowiona przez CZSBM, przewiduje 80 metrów kwadratowych na 1000 mieszkańców.

Nam w trzech osiedlach brakuje do niej aż 1000 metrów — mówi Franciszek Poreda — a najbardziej poszkodowane pod tym względem jest Centrum. Górka Zawadzka ma największe szanse na rozwinięcie wszystkich form pracy kulturalnej, ale też ona najbardziej ich potrzebuje jako osiedle młode i pod względem środowiskowym szalenie zróżnicowane. Każde przedsięwzięcie wymaga jednak sojuszników, którzy by je wspierali merytorycznie i organizacyjnie, bo przecież Spółdzielnia nie dysponuje żadną własną kadrą instruktorską. Dotychczas z największą pomocą przyszedł nam Zarząd Wojewódzki LOK-u: wyposażył dwa kluby radiotechniczne i jeden strzelecki oraz „wypożyczył” świetnych instruktorów. Natomiast nie odczuwamy żadnego zainteresowania naszymi metodami wychowywania obywateli ze strony władz kulturalnych miasta albo takich organizacji, jak Liga Kobiet Polskich, TPD czy TPPR. Często włączają się do naszych inicjatyw harcerze, którzy niedługo otrzymają na Górce Zawadzkiej własny lokal, ale np. ZSMP nie przyjęło proponowanych mu pomieszczeń!

Liczyliśmy na pomoc komitetu osiedlowego — mówi kierownik administracji Górki Zawadzkiej. — Daliśmy mu nawet pokój do spot-

kań i narad. Ale od kwietnia ub.r. jakoś trudno mu się zebrać. Wiem tyle, że jego członkowie gromadzili podpisy lokatorów bloku przy Prusa 10 przeciwko kawiarni. Uparli się na aptekę, która wymaga zupełnie innego metrażu i specjalnych warunków sanitarnych.

— Kwietniowe spotkanie komitetu też nie wniosło do tematu poprawy życia w osiedlu żadnych propozycji — uzupełnia Lesław Pawliński, inspektor ds. społeczno-wychowawczych na Górce Zawadzkiej. — Zamiast zgłaszać konkretne wnioski, dotyczące placów zabaw, zieleni, placówek kulturalnych, ludzie narzekali na blokowe usterki.

Moi rozmówcy nie mogli jednak zaprzeczyć tezie, że dolegliwości codziennego życia mają wpływ na częstotliwość korzystania z propozycji kulturalnych. Nikt nie pójdzie przecież na najlepszy nawet seans czy spektakl teatralny, jeśli mu woda w piwnicy podmywa zapasy, tylko poświęci wieczór na ich zabezpieczenie. Żaden z normalnych ludzi nie wybierze się wieczorem do osiedlowej kawiarni, gdy łomot wejściowych drzwi lub przecieki z dachu wyrwywają mu ze snu dzieci.

odporny

Oczywiście, błędem byłoby obciążać winą za wszystko Spółdzielnię, która przecież wobec monopolisty Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego nie ma praktycznie żadnych sankcji, bo odszkodowanie za partactwo jego efektów nie usuwa. Kto np. zmusi LPB do wywiezienia tych rozlicznych „prezentów” w postaci stert potłuczonych płyt i ścian, które pozostawilo w różnych punktach Górki Zawadzkiej? Kto potrafi je nakłonić do naprawy chodników, już w chwili kładzenia skazanych na zniszczenie z powodu złych podkładów i niedostrzegania studzienek kanalizacyjnych?

Przy najbardziej „księżycowym” chodniku na Górce Zawadzkiej mieszka sam były dyrektor Zakładu Usług Inwestycyjnych WSM, inwestora zastępcę przy budowie tego osiedla. Spytałem go, jakże ludzie, a głównie dzieci, mają się poruszać po tych wybojach, zimą zamaskowanych śniegiem i wyrównanych lodem, zaś w pozostałych porach — wiecznymi kałużami; jak mogą bezpiecznie poruszać się po „ruchomych” schodach, w których każda płyta utrzymuje inny poziom i odmienny stopień nachylenia.

Odpowiedział beztrząsco: — Dlatego właśnie ja swoje dziecko zawsze noszę na plecach.

Podeszłam z innej strony: — Jeśli Spółdzielnia chce osiągnąć jakies efekty swojej działalności społeczno-wychowawczej w osiedlu, musi stworzyć takie warunki życia jego mieszkańcom, które zmuszałyby ich do wyrabiania w sobie kulturalnych nawyków. A nie może się pan spodziewać, że na tak zaniedbane, sławiające z każdym deszczem chodniki i trawniki ludzie nie będą wyrzucali różnych odpadków.

— Skoro tak, to powiem pani: my nadzorowaliśmy tę inwestycję w imieniu Spółdzielni, ale odpowiedzialność za nią skończyła się dla nas wraz z rocznym okresem gwarancji.

Pozostało mi jedynie uderzenie w obywatelski ton: — Trzeba przyznać, że cierpliwie przeczekaliście ten rok... A zwłaszcza dziwi mnie to w przypadku pana: przecież chodnik ten ogląda pan codziennie. Na pana miejscu zwerbowałabym, ze względów ambicjonalnych, całą męską część własnej rodziny, a gdyby tej było za mało, to choćby sąsiadów!

— I ja myślałem już o sąsiadach, ale kolega powiedział mi, że na pewno nikt nie wyjdzie... A swoich mocy, niestety, nie mam. O, niech pani patrzy, ciągle brakuje mi pracowników, w tej chwili jedenastu.

Popatrzyłam: maszynistkę zapewne pan dyrektor by znalazł, ale skąd wziąć „inspektora ds. maszynopisanja”?

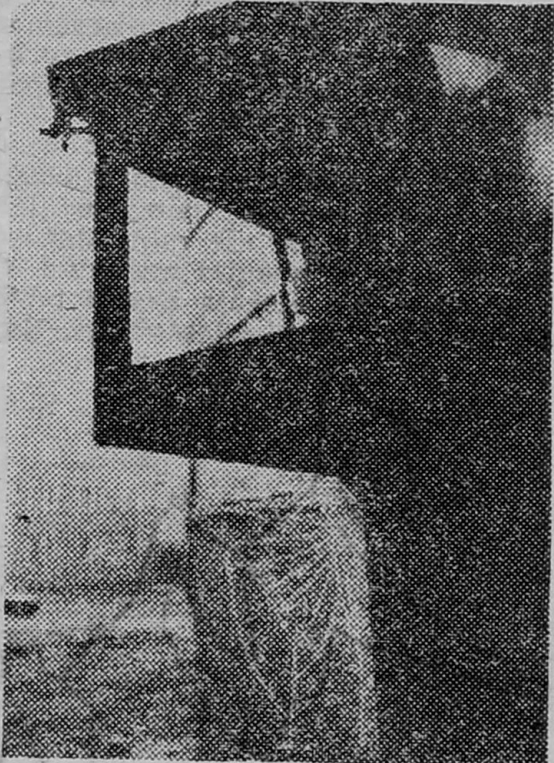
Skoro — teoretycznie — nie uda się zintegrować mieszkańców dwu bloków wokół sprawy dwu chodników, to jakże ich zainteresować estetycznym wyglądem całego osiedla?

wolność Tomku

Problem ruralizacji miast jest tak stary, jak spółdzielcze budownictwo

STEFANIA HENCZELOWA

Kropka kultury



mieszkaniowe. Na jego nasilenie miały niewątpliwie wpływy polityka rolno państwa oraz różnicowanie się standardu życia na wsi i w mieście. Wytworzyła się nowa, fałszywa hierarchia wartości, w której „przejście do miasta” nobilitowało każdego wiejskiego straceńca. „Moja córka mieszka w bloku!” — ten fakt dla wielu matek znaczy więcej niż posiadanie dużego i zadbanego gospodarstwa. Natomiast córka z trudem próbuje się odnaleźć w nowym środowisku, wśród atrybutów nieznanego jej cywilizacji; co i rusz zatyka przewody kanalizacyjne, niepotrzebne odpadki wyrzuca bezpośrednio za okno, a jak już urządzi przyjęcie, musi być ono tak huczne, aby całe osiedle słyszało gości do rana.

Zadawniony nawyk biernego wypoczynku nie dopuszcza nawet myśli innego spędzania czasu, jak przed telewizorem, a latem — na przybłokowej ławeczce. Drobnych i wyblakłych tekstów na tablicach ogłoszeń ci świeżo wykreowani mieszkańcy z zasady nie czytają; nie czytają ich także z przekonania, że jeśli Spółdzielnia coś wywiesiła, z pewnością nie kierowała się interesem mieszkańców.

Pracownicy Spółdzielni od działań społeczno-wychowawczych nie komunikują się z mieszkańcami. Jeśli nie udaje się ich zgromadzić na wspólnym spotkaniu, jeśli komitet osiedlowy cierpi na przewlekłą inercję, a dzielnicowy nie wywiązuje się z danych obietnic, należałoby ten ludźmi osiedlowy wychowywać najprostszymi środkami, a także najkrótszą drogą informować o własnych propozycjach kulturalnych. Na przełomie roku ubiegłego i bieżącego Spółdzielnia oddała do użytku — na samej tylko Górce Zawadzkiej — siedem placówek społeczno-wychowawczych. Część osób dowiedziała się o tych faktach z prasy, ale większość nie czyta nawet gazety codziennej, a klatkowe tablice ogłoszeń przez cały czas pozostawały puste! Inspektorowi Lesławowi Pawlińskiemu wystarczy upor i cierpliwości do wydeptywania zawitych ścieżek przy wyposażaniu osiedlowych placówek, ale brakuje zapалу do wypisania paru słów do P.T. Mieszkańców, że oto np. otworzył dla nich nową świetlicę, a jeśli oni będą uprzejmi nie demolować osiedlowej zieleni, to wyposaży ją w kolorowy telewizor.

dziec we mgle

W dokumencie zatytułowanym „Stan obecny i warunki rozwoju kultury w województwie łomżyńskim” tylko raz pada zdanie dotyczące osiedla: „Podstawowymi warunkami rozwoju kultury w tym mieście (Łomży — przyp. S.H.) o bok wymienionych wyżej są: zabezpieczenie jej placówkom odpowiednich warunków lokalowych, zatrudnienie w placówkach upowszechniania kultury bez względu na ich organizacyjne podporządkowanie kadry instruktorskiej o wysokich kwalifikacjach, włączenie twórców profesjonalistów w realizację zamierzeń i inicjatyw kulturalnych na terenie miasta oraz trwałe zainteresowanie wszystkich jednostek organizacyjnych, mających swą siedzibę w Łomży, funkcjonowaniem życia kulturalnego na terenie każdego zakładu pracy i osiedla”.

Temu uroczu „okraglemu” stwierdzeniu — oprócz konkretnych — brakuje adresata. Bezosobowość „dyrektywy” implikuje efekty, a te wyglądają następująco: Spółdzielnia nie otrzymała od profesjonalnych placówek kulturalnych miasta ani jednego instruktora; nie wymyśliły one również żadnej formy doskonalenia kadry obecnie zatrudnionej. Ta o własnych siłach musi się borykać z programem i potykać na — wynikających z braku przygotowania do roli kulturalnika i wychowawcy — błędach. Chwała Domowi Środowisk Twórczych za oddelegowanie swojej pracownicy do prowadzenia świetlicy przy Wiejskiej; na tej samej zasadzie można by wiatować na część Wojewódzkiego Zarządu Obrony Kraju, który dał aż dwóch swoich ludzi, miejskiego Hufca ZHP za zrobienie dobrego użytku ze świetlicy przy Wiejskiej, no i Wojskowej Biblioteki Publicznej za obsadę dwóch placówek (miejscowych i wiejskich) oraz czytelnictwa i czasopism. Czy można jednak to współdziałanie rozpatrywać w kategoriach pomocy spółdzielczości?

Fot. GABOR LURINCZY

5

KONTAKTY
20 II 1983

kryteria



W nawiązaniu do notatki zamieszczonej w rubryce „Spiecia” („Kontakty” nr 36 z 1982 roku), dotyczącej lokalizacji przystanku w miejscowości Bybytki, Oddział Towarowo-Osobowy PKS w Zambrowie informuje:

W dniu 9 grudnia 1982 roku komisja w składzie: sołtys wsi Bybytki, obywatel Jan Wojteczuk; przedstawiciel UG w Szepietowie, obywatel Marian Kruszewski; przedstawiciel Wydziału Komunikacji UW w Łomży, obywatel Stanisław Kłama; przedstawiciel Wydziału Ruchu Drogowego KW MO w Łomży, ppor. Zdzisław Piotrowski; przedstawiciele Oddziału PKS w Zambrowie, obywatel Ryszard Kłocel i obywatelka Teresa Orłowska ustaliła miejsce nowej lokalizacji przystanku Wilki Kolonia. Przystanek został przesunięty o 200 metrów w kierunku wsi Bybytki.

Mieszkańców wsi Bybytki przepraszamy za opóźnienie zmiany lokalizacji przystanku.

mgr Józef Idzkowski
dyrektor Oddziału
Towarowo-Osobowego PKS
w Zambrowie

W odpowiedzi na list mieszkańców wsi Dąbrowa Moczydły, zamieszczony w 35 numerze tygodnika „Kontakty”, dotyczący braku odwodnienia drogi Dąbrowa Moczydły — Czyżew. Dyrekcja Okręgowa Dróg Publicznych informuje, że projekt odwodnienia omawianej ulicy jest opracowywany przez Pracownię Projektową tutejszej Dyrekcji na zlecenie Rejonu Dróg Publicznych w Wysokim Mazowieckiem. Przewidujemy zakończenie opracowywania projektu w pierwszym kwartale br., a rozpoczęcie robót odwadniających przez RDP w Wysokim Mazowieckiem w drugim kwartale 1983 r.

Jednocześnie wyjaśniamy:

1. Na terenie wsi Dąbrowa Moczydły nie są uregulowane stosunki wodne.

2. Budowa omawianej drogi lokalnej nie była wykonywana przez Rejon Dróg Publicznych w Wysokim Mazowieckiem lecz — według uzyskanych informacji — w latach pięćdziesiątych przez byłą Wydział Komunikacji Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Wysokim Mazowieckiem przy udziale czynów społecznych.

3. Prawdopodobnie ze względu na trudności spowodowane nieregularnymi stosunkami wodnymi na terenie wsi, w czasie budowy drogi nie rozwiązano prawidłowo odprowadzenia wód opadowych. Nawierzchnię ułożono tak jak istniała droga gruntowa i w środku wsi pozostawiono nieckę. Gromadząca się w tym miejscu woda odpływała ciekami naturalnym do sadzawki znajdującej się na posesji obywatela Laskowskiego. Wymieniony o-

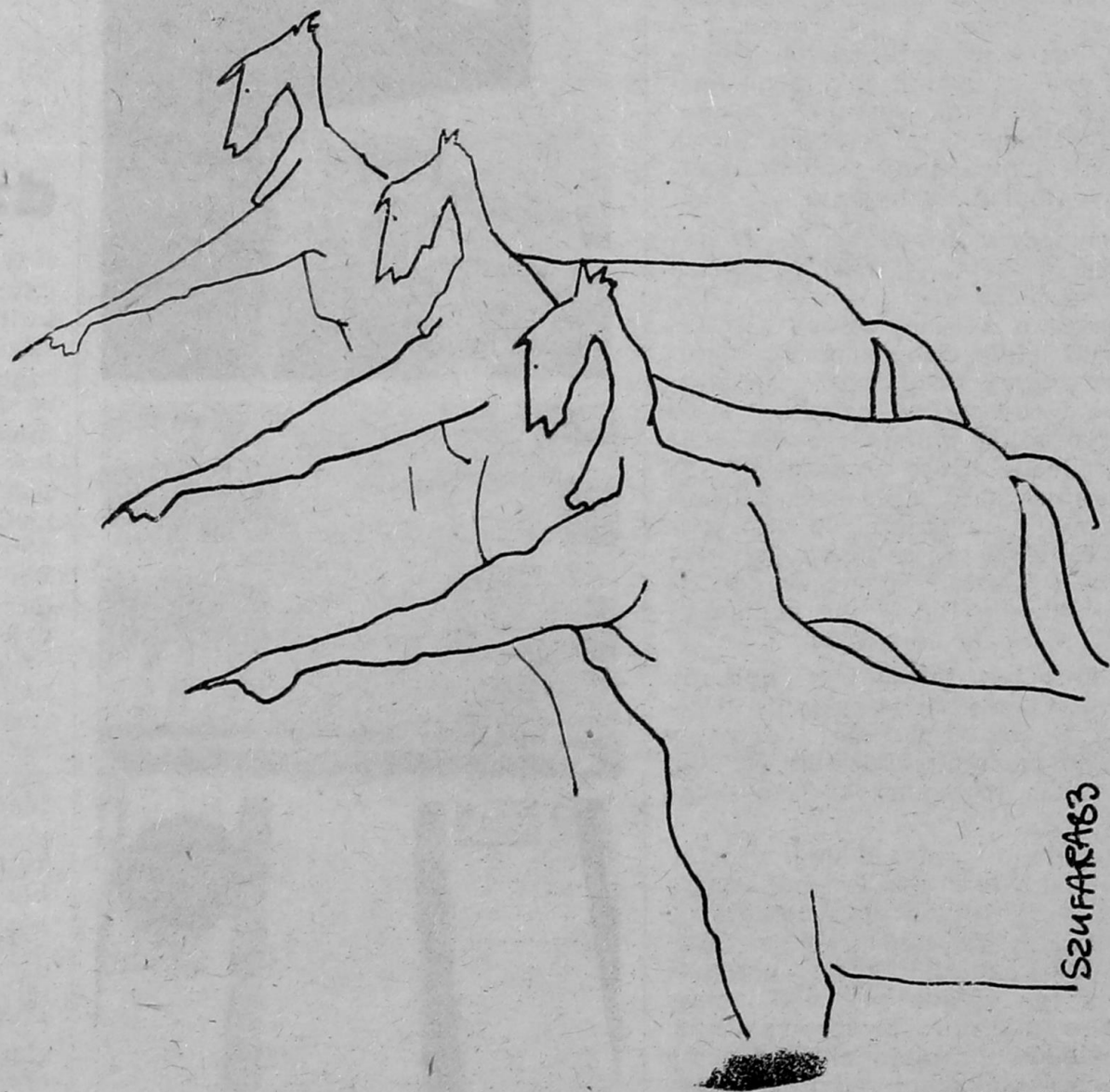
bywatel ogrodził swoją posesję płotem na betonowym cokole i odciął w ten sposób spływ wody. Posesja obywatela Laskowskiego — zgodnie z oświadczeniem Naczelnika Gminy w Szepietowie — w planach zagospodarowania przestrzennego przeznaczona jest pod budownictwo zagrodowe.

Mgr inż. Alfred Sęczek
zastępca dyrektora naczelnego
Dyrekcji Okręgowej
Dróg Publicznych
w Białymstoku

W nawiązaniu do notatki zamieszczonej w „Spieciach” („Kontakty” nr 2), dotyczącej wody używanej do wirowo-wodnych masażów wyjaśniam, że na przełomie miesiąca listopada i grudnia wystąpiła awaria wymienników ciepłej wody. Natychmiast przystąpiono do wykonania nagrzewnic. Jednakże uzyskanie odpowiednich rur zajęło około dwóch tygodni. Mimo to utrzymano temperaturę wody w granicach 40—50°C. W takiej sytuacji, przy jednoczesnym odkręcaniu kilkudziesięciu kranów z ciepłą wodą, nie było możliwości natychmiastowego dogrzania wody.

Ciepłą wodę (w określeniu dziennikarskim — breja) nie stwierdził ani Sanepid, ani nikt z pracowników szpitala. Chyba, że określenie to dotyczy wody zasilającej całą Łomżę, gdyż taka sama jest dostarczana do szpitala. Zapewniam, że dodatkowo nie łapiemy wody z rynien — ostatecznie posiadamy sprawne własne źródło rezerwowe. Dyrekcja nie rozkładała i nie rozkłada rąk, ani na interwencję dziennikarską, ani inną. Świadcza o tym przeprowadzone kontrole przez przedstawicieli upoważnionych jednostek województwa oraz Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w Warszawie.

Mimo to niedociągnięcia i błędy były i będą — nie popełnia ich tylko ten, kto nie robi. Maksyma ta dotyczy również maszyn i urządzeń — nie ulegają awarii tylko te, które nie są eksploatowane. Na-



Rys. ANDRZEJ SZUFARSKI

tomiast obecnie nie płynie, albo zimna, albo ..., tylko normalna gorąca woda z jednego kranu i zimna z drugiego.

Z powyższego wynika, że jedyną prawdą zamieszczoną w treści notatki jest to, że w okresie od 25.XI. 1982 r. do 15.XII.1982 r. nie były w pełni zabezpieczone potrzeby gorącej wody z podanych wyżej przyczyn.

Inż. Kazimierz Kopczewski
Zastępca dyrektora
Wojewódzkiego Szpitala
Zespołowego w Łomży

Od redakcji: Słowem, nie tylko jedna, ale i cała prawda, gdyż o niczym innym, jak o braku ciepłej wody nie pisaliśmy.

WIESŁAW KOŁOWSKI

Votum nieufności

Trzeba nie łada głowy, aby w rejestrze żądań załogi oddzielić to, co słuszne, od niezasadnionych mrzonek. Ustawodawca w polskim przedsiębiorstwie państwowym przewidział 15 osób w radzie pracowniczej i wyposażył ją w kilkadziesiąt uprawnień. Ustalił m.in., że „Do samorządu załogi przedsiębiorstwa państwowego należy stanowienie w istotnych sprawach przedsiębiorstwa, wyrażanie opinii, podejmowanie inicjatywy zgłaszanie wniosków oraz sprawowanie kontroli działalności przedsiębiorstwa”.

Rada zatwierdza roczny plan przedsiębiorstwa, opiniuje propozycję jego przystąpienia do przesyłu lub połączenia z innym; uchwała regulamin i zasady podziału docho-

niczej w grajewskich Zakładach Płyt Wiórowych. Faktem jest, że — po przeprowadzeniu referendum — została ona rozwiązana.

W grudniu zakład prowadził wypłaty z dwóch tytułów: podziału zysku za trzy kwartały i zwiększenia produkcji (zgodnie z uchwałą nr 243 Rady Ministrów). Pieniądze z zysku były dzielone według zasad ustalonych przez radę pracowniczą; regulamin podziału za wzrost produkcji zakładu, ale i ten został zatwierdzony przez radę pracowniczą.

Zgodnie z ustawą — rada pracownicza może podejmować uchwały dotyczące wykorzystania funduszy pozostających w dyspozycji przedsiębiorstwa. Rada w ZPW posłała dalej: powołała komisję, która opracowała projekt regulaminu podziału zysku. Postąpiła tak, chociaż nie musiała; mogła administracja zakładu zobowiązać do przygotowania projektu. Uniknęłaby wtedy prawdopodobnie błędów w ustaleniu podstaw decydujących o wysokości nagród dla kierowców i straż przemysłowej. Nie bez znaczenia był fakt, że komisja wyłoniona z rady opracowała projekt regulaminu podziału zysku, po czym ta sama rada go zatwierdziła. Sprzeciw wzbudziły też zasady naliczenia wynagrodzeń, mających wpływ na wysokość udziału w zysku: robotnicy z działu płyt surowych chcieli np., aby zysk był dzielony podobnie jak „trzymastka”.

— Jak była regulacja płac, to do obliczenia wynagrodzeń brali pieniądze wypłacone z różnych tytułów, a nie tylko „gołe” stawki — uzasadniały swoje pretensje. Premia jest za pracę, ale jeśli kolega produkujący płyty otrzymał siedem pół tysiąca, a pani z biurowej po osiem i więcej, to coś nie jest w porządku.

Podobne żale ujawniają pracownicy działu utrzymania ruchu: — Otrzymałbym po osiem i tysiąc (brygadziści nawet dwanaście), tyle, co administracja, choć pracujemy w niedziele, wolne soboty i w nocy.

— Zgadza się, praca w godzinach nadliczbowych jest bardziej ciężka niż na dziennej zmianie — mówi przewodniczący rady pracowniczej, Edward Michalski — ale za tę pracę otrzymują dodatkowe wynagrodzenie. Zle się dzieje w zakładzie, jeśli nadgodzin przybywa, bo ludziom brakuje czasu na wypoczynek. Pracownicy produkcyjni mają pretensje, że administracja, otrzymując tyle samo, co oni. Nie biorą pod uwagę faktu, że ktoś musi organizować produkcję. Oczywiście, nie każdy pracownik biurowy jest w to zaangażowany, ale nie zapominajmy, że zakład pełni ciągle funkcję opiekuńczą. Przecież pracownicy administracji też muszą za coś żyć. Inną sprawą jest przerost w ich zatrudnieniu, ale to nie w tym biurowcu planowano ilość etatów.

Dzisiaj widać, że wywieszenie regulaminu podziału zysku na tablicy ogłoszeń to jeszcze nie konsultacja. Projekt opatrzonej był adnotacją, aby uwagi składać pisemnie. — Ale który robotnik będzie pisał zażalenie? — zastanawia się wiceprzewodniczący komisji wyborczej, Feliks Weier. — Nie ma na to czasu ani chęci. Mamy około stu delegatów, jeden przypada na dziesięciu zatrudnionych. Oni mogli przedstawić propozycje załozdze, zebrać opinie i przekazać radzie.

Zdarzało się w grajewskich ZPW, że rada pracownicza odpowiadała nie za swoje winy. Domagała się naprawy od jej członków interwencji w indywidualnych sprawach mieszkańców. Przepisy przewidują jedynie jej rolę w ustalaniu generalnych zasad polityki mieszkaniowej zakładu; w innych przypadkach wchodziłaby w kompetencje związków zawodowych. Gdyby ten fakt rada uświadomiła załodze, zapewne ta utworzyłaby wówczas związki zawodowe.

Zgodnie z ustawą — komisja wyborcza, po otrzymaniu listy podpisanej przez 264 pracowników żądających rozwiązania rady pracowniczej, zarządziła referendum. Za odwołaniem dotychczasowej rady opowiedziało się 512 osób, przeciw — 265. Rada zawiesiła działalność. Rejestr spraw załatwionych i nie załatwionych zostanie przekazany przewodniczącemu walnego zebrania.

W Zakładach Płyt Wiórowych przygotowywana jest kolejna regulacja płac.

co po krytyce



— Kiedy ogląda się telewizję, słucha radia czy przegląda prasę, odnosi się wrażenie, że województwo łomżyńskie w ogóle nie jest reprezentowane w Sejmie.

Mirosław Skalski: — Widocznie nie robi się tego dokładnie. Tak się bowiem składa, że ostatnio jest tej Łomży w Warszawie aż nadto. Zwraca się nam nawet uwagę, że powinniśmy nieco wyhamować i dopuścić do głosu innych.

— „Wam”, a Panu?

M.S.: — Minister Wojtecki wytknął mi na Wojewódzkiej Konferen-

ca wystarczy jeszcze na rok, może na dwa, potem jednak nie będzie w stanie zaspokoić rosnących potrzeb i najwzrostniej przyhamuje rozwój budownictwa mieszkaniowego. Rozbudowa rozlewni wymaga zakupów dewizowych, a w obecnych, trudnych czasach jest to niejednokrotnie próg nie do przeskokowania. Wojewoda przekazał już uzasadnienie do biura Wojewódzkiej Rady Narodowej, skąd, w imieniu Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego, wysłał ją pod adresem marszałka Sejmu.



dopuszczenie innych do głosu

Mirosław Skalski, poseł na Sejm PRL, sekretarz KW PZPR, mgr inż. melioracji, lat 41.

cji, że trzykrotnie musiał odpowiadać na moje interpelacje w sprawie melioracji.

— Trudno przyczyną niedoinformowania upatrywać tylko i wyłącznie w niechęci ludzi do czytania prasy czy oglądania telewizji.

M.S.: — Bo też nie jest to cała prawda. Niestety, o pracy posłów pisze tylko prasa centralna nie natomiast nie znajduje się na ten temat w lokalnej. Trudno żebym ja sam zechciał, powiedzmy do „Gazety Współczesnej”, i prosił: „Napiszcie, bo zabrałem głos”.

— Nie zaprzecz Pan jednak, że o wystąpieniu któregoś z posłów łomżyńskich z konkretnym problemem województwa słyszy się bardzo rzadko.

M.S.: — Posłowie z reguły starają się uniknąć forsowania jednostkowych spraw. Proszę sobie wyobrazić, co by to było, gdyby każdy mówił tylko i wyłącznie o swoim podwórku. Jarmark, a nie Sejm. „Wstrzeliwać” trzeba się z takimi problemami, które mogą zainteresować przynajmniej kilkanaście województw. Wtedy dopiero, jako egzemplifikację problemu, podaje się ten konkretny lokalny. I wtedy też istnieje największa szansa przeformowania go.

— Jakże zatem problemy udało się Panu ostatnio przeformować?

M.S.: — Choćby przyspieszenie budowy grajewskiej oczyszczalni. Z drobniejszych, ale nie mniej ważnych (załatwianych dwutorowo, bo także przez wojewodę) — zwiększenie dostaw maszyn rolniczych, w tym np. ciągników z 1200 (w roku ubiegłym) do 1600. Ciesze się też, że udało się nam zobowiązać resort do zmiany głównego wykonawcy przy budowie szpitala w Łomży.

— Co to może oznaczać w praktyce?

M.S.: — Przyspieszenie inwestycji. Przy dotychczasowym tempie nie doczekalibyśmy chyba przecięcia wstęgi. Upłynęła już połowa czasu umownego, a budowa dalej w powijakach. „Budopol” Pisz może „przerobić” rocznie 120 milionów złotych, tymczasem tylko u nas, żeby zmieścić się w planie, powinien zużytkować 150 milionów (poziom cen z 1979 r.). A przecież realizuje równocześnie trzy takie inwestycje, jak nasza.

— Sprawy na dziś?

M.S.: — Przede wszystkim wspomniane już melioracje. Poza tym: rozlewnia gazu w Łomży, obsługa siedem województw. Istnieje-

— Czy może się Pan przyznać do jakiejś porażki?

M.S.: — Trudno to już teraz nazwać porażką, ale faktem jest, że do tej pory nie udało mi się nadać tej sprawie odpowiedniej rangi. Chodzi o budownictwo mieszkaniowe na wsi. Żeby rolnik mógł postawić sobie dom, musi, po pierwsze, mieć dostęp do dobrego, funkcjonalnego (dostosowanego do potrzeb wielopokoleniowej rodziny) projektu; po drugie — mieć możliwość zakupu materiałów zgodnie z dokumentacją; po trzecie — szansę zatrudnienia wykonawców, którzy zbudują w oparciu o ten materiał i tę dokumentację. Wszystko to, jak na razie, zamyka się, niestety, wyłącznie w sferze pobożnych życzeń. Między innymi i dlatego, że odpowiedzialność rozkłada się gdzieś tam na wysokości, ministerialnych szczeblach. Najwyższy czas, żeby za budownictwo indywidualne na wsi odpowiadał jeden resort. Niestety, stanowisko rządu w tym względzie różni się bardzo od naszego. Stąd też nie zostało ono (na mój wniosek zresztą) zaakceptowane przez komisję problemową. Kolejna propozycja rządu też nie wnoszą nic nowego. Na najbliższym posiedzeniu będę zatem występował o ponowne jej odrzucenie.

— Czy Mirosław Skalski-poseł znany jest w województwie?

M.S.: — Ci, którym jestem potrzebny, zawsze znajdują do mnie drogę. Prochę jednak za mało mam spotkań poselskich. Ostatnio, w grudniu i styczniu, tylko dwa.

— Niechęć do publicznych wystąpień?

M.S.: — Po prostu brak czasu. Kiedyś ma się w miesiącu cztery posiedzenia Sejmu, uczestniczy w pracach dwóch komisji (budowlanej i rolnictwa), dwóch podkomisji oraz zespołu międzykomisyjnego ds. gospodarki żywnościowej, zapomina się o tym, że istnieje też dom, praca zawodowa.

— Gdzie zatem, poza Warszawą, można Pana szukać?

M.S.: — Do niedawna (raz w miesiącu w poniedziałki) na dyżurze poselskim. Teraz jednak uproszczone sprawę i przyjmuję w Komitecie Wojewódzkim o każdej porze, bez ograniczeń.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
ALEKSANDER
WRONISZEWSKI
Fot. GABOR LORINCZY

W końcu stycznia zebrała się w Zamku Królewskim w Warszawie Narodowa Rada Kultury — ziszczył się dawno wysuwany postulat pracowników i działaczy kultury oraz jej profesjonalnych twórców. Przemówienia inauguracyjne działalności Rady — premiera Wojciecha Jaruzelskiego, ministra Kultury i Sztuki, Kazimierza Żygulskiego, i jej przewodniczącego, prof. Bohdana Suchodolskiego — nakreśliły w najogólniejszych konturach genozę Rady oraz rolę, jak przed nią stawia rząd. Z członkami Rady, mieszkańcami Łomżyńskiego, Janem Gietkiem i Antonim Czajkowskim, rozmawia Henryk Gała.

optymizm

— Jak trafił Pan do Narodowej Rady Kultury?

Jan Gietek: — Przyjechał naczelnik gminy i i spytał, czy zgodziłbym się na piastowanie takiej funkcji. Zorientowałem się, jak odpowiedzialne jest to zadanie, i miałem wątpliwości (zresztą mam je nadal), czy akurat będę tam użyteczny. Nie jestem przyzwyczajony (nie robiłem tego ani na stołku radnego, ani — uprzednio — prezesa Białostockiego Oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych) do jałowego zajmowania miejsca. Po namyśle jednak zdecydowałem się. Potem sprawa ucichła i zostałem znowu, po raz drugi, zaskoczony, kiedy z Ministerstwa Kultury i Sztuki przyszło zaproszenie, żeby stawić się w Warszawie.

— Jak Pan myśli, co ostatecznie zdecydowało o powołaniu Pana do Rady?

J.G.: — Najpewniej wszystko: i to, że jestem rolnikiem na tych swoich 25 hektarach kurpiowskich pisków, i to, że jestem radnym, a także to, że uchodzę za poetę i gawędziarza kurpiowskiego.

— Widzę też, że w Pańskim domu odbywa się szkolenie rolników...

J.G.: — Od kiedy zbudowałem ten dom, zrobiła się z niego świetlica. Organizowałem tu artystyczne zespoły ludowe; wystawialiśmy wesele kurpiowskie, potem mieliśmy zespół dziecięcy „Biedronki” a teraz przygotowujemy program złożony z mało znanych piosenek kurpiowskich oraz moich wierszy i gawęd.

— Czy zamiłowanie do sztuki to też ojcowizna, jak gospodarstwo?

J.G.: — Nie, przede mną w rodzinie nikt ludowy nie układał, a i moje dzieci chociaż wszystkie kształcą, nie zdradzają ochoty do tego. Ja zacząłem pisać w wierszu na początku lat pięćdziesiątych. W wierszach wytykałem różne uchybienia, za co miałem nawet trochę nieprzyjemności. Potem, po powrocie na ojcowiznę, miałem przerwę: musiałem tu wszystko pobudować, dokupiłem 13 hektarów ziemi, no i rodzina mi się powiększyła. W końcu lat sześćdziesiątych zacząłem znowu pisać, a na początku siedemdziesiątych białostockie „Kontrasty” wydrukowały mój wiersz „Co warto poznać” potem „Wierma i Mazury” i inne pisma.

— Jakże było Pana wejście do Rady?

J.G.: — Z miejsca poznałem sympatyczne towarzystwo i wielu wybitnych osób. Z premierem Rakowskim siedzieliśmy obok siebie, rozmawialiśmy; on jest też członkiem Rady.

— Co Pan przywiozł z pierwszego posiedzenia?

J.G.: — Optymizm. Praca tylu ogólnie szanowanych i cenionych ludzi musi dać dobre rezultaty. Ja będę się starał reprezentować kulturę na wsi i twórczość ludową. W tych dwóch tematach mogę być przydatny, bo potrafię przedstawić

rzeczywiste potrzeby w tych dziedzinach.

*

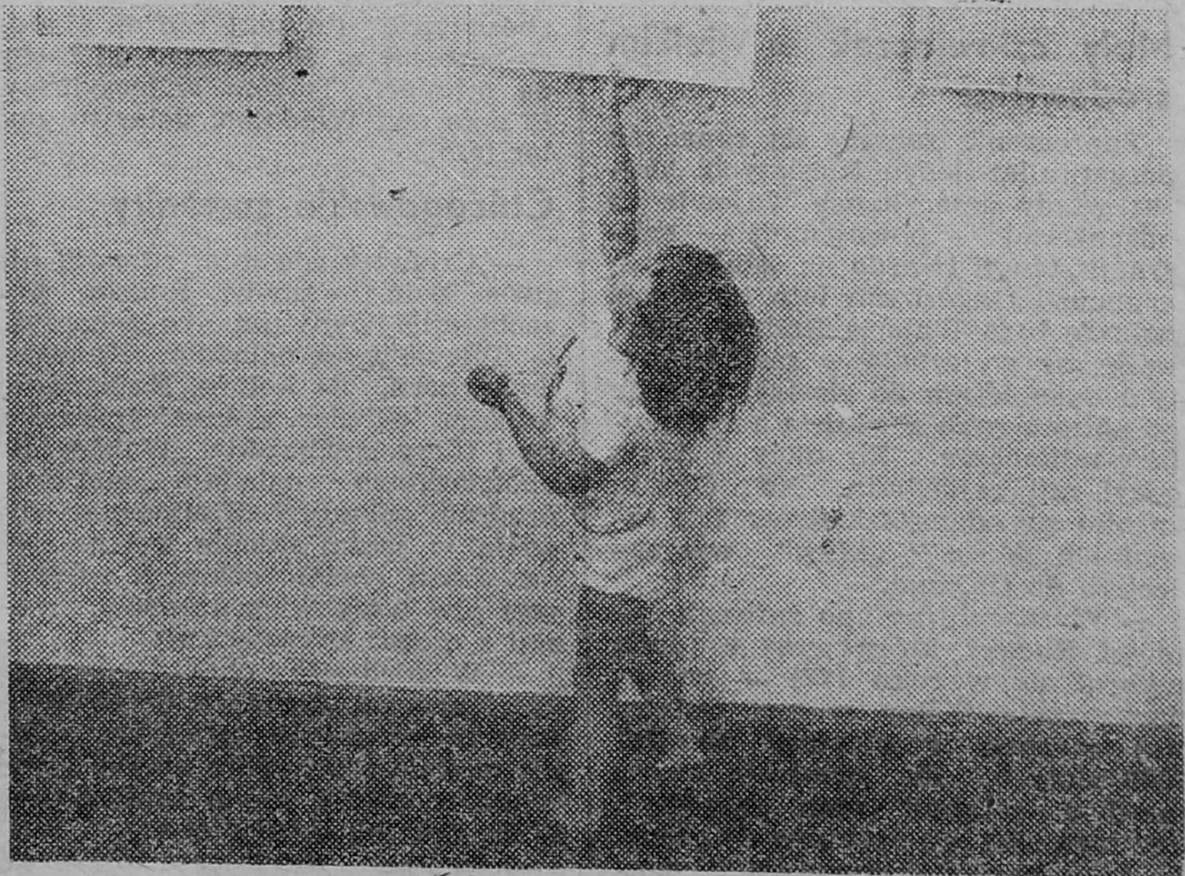
Antoni Czajkowski — dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Grajewie: — Kiedy zadzwonił do mnie dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i spytał, czy chcę wziąć udział w pracach Rady Kultury, odpowiedziałem, że bardzo chętnie. Upewniłem się w tej deklaracji, kiedy zobaczyłem, jakie środowisko społeczne i strefy działania kultury mają reprezentację w Radzie: naprawdę cała polska kultura, od profesjonalistów z centrów do amatorów, od animatorów z małych miejscowości do wielkich nazwisk naszego życia kulturalnego. Tych ostatnich jest większość. Podobna mi się także intencja powołania Rady: rozpoznanie stanu kultury, zdiagnozowanie go i podjęcie decyzji, które zapewnią jej rozwój i zaspokoją aspiracje społeczeństwa. Przede wszystkim istnieje konieczność wyboru dziedzin kultury, które trzeba ratować.

— Przecież mamy komplet instytucji, które niczemu innemu nie mają służyć: administrację, komisje rad narodowych, stowarzyszenia twórcze, towarzystwa i sto innych. Czy one już tego nie potrafią?

A.C.: — Nie wystarczają i, jak zaświadcza rzeczywistość, nie zdały egzaminu. Rada jest, przynajmniej w moim odczuciu, próbą stworzenia antidotum na zapóźnienie kulturalne naszego społeczeństwa. Jest też pierwszym krokiem do szukania nowych rozwiązań w funkcjonowaniu kultury, które chroniłaby przed tym, co mamy w tej chwili. Rada nie może być fasadą dla polityki kulturalnej rządu, a jej opinie muszą być brane pod uwagę. Prostym sprawdzianem intencji rządu będzie stopień realizacji postulatów Rady, tak jak zmiany w funkcjonowaniu kultury będą miernikiem skuteczności jej działań. To kwestia najbliższego roku.

— W gruncie rzeczy są to tylko życzenia.

A.C.: — Myślę, że już na najbliższym posiedzeniu, w komisjach, zaczniemy intensywnie pracować nad zmianą modelu funkcjonowania kultury. Mamy do pokonania całe pokłady konserwatyzmu i skostnienia, także będących naszym udziałem. Uważam, że rząd zamierza dokonać nie tylko sprawiedliwego podziału dóbr kultury, ale również zmiany polityki kulturalnej. A podjęcie tego dzieła bez użycia ciała w rodzaju Rady, zagrożone byłoby możliwością jeszcze jednego rozminięcia się z realizmem, czyli potrzebami społecznymi i aspiracjami twórców. Idzie w tym także o uratowanie naszej tradycji narodowej w całym jej bogactwie, bez instrumentalnego sięgania po te lub owe jej fragmenty.



prezentacje



Ulica Amerykańska

Jeszcze dziesięć lat temu na ulicy 1 Maja w T. stały same dziewczynki. Wsie w tym regionie nie należały do zamożnych. Właściciele kilku-morgowych splachetków emigrowali już przed pierwszą wojną. Duża fala odpłynęła po czterdziestym piątym. (Ponoć rodzina senatora Muskiego vel Marciszewskiego wywodzi się właśnie stąd). Ci, którzy zostali, musieli ciężko tyrać na chleb.

Gdy się obżeniłem, jak pies kości zbierałem — wspomina jeden z mieszkających przy „ulicy Amerykańskiej”, Michał Rudzki. — Żeby na życie mieć, przy księżycu rozrzucałem obornik, a rano szedłem do państwowej roboty. Z czterech hektarów nie szło nawet podatku opłacić.

Zanim zaczęły napływać zza oceanu zaproszenia, „ulica” zamieniła się w jeden duży plac budowy. Ludzie zaciągali kredyty, stawiali domy i jechali odrobić dług. Bolesław Wichrowski budował się trzy lata. Do ośmiohektarowego gospodarstwa dorabiał krawiectwem. Miał szóstkę dzieci na karku i piątą krzyż. W 1974 wsiadł do „Szopena” i poleciał — na trzy lata.

Dzisiaj bieda omija z daleka tę „ulicę”. Nawet dwa budynki, otwierające i zamykające, których właściciele nie byli w Stanach, w niczym nie ustępują domom Amerykanów.

Wygrałem swój na organach — wyjaśnia organista, właściciel jednego z nich.

Przy ulicy ulokowało się kilka ważnych instytucji, które dodatkowo przydają jej splendoru. Jest więc Gminny Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych, Bank Spółdzielczy, biblioteka, fryzjer, drewniany posterunek MO i — na samuteńskim końcu — wstydliwie skryty, zmurszały punkt skupu jaj. Są jeszcze dwa zakłady rzemieślnicze — futrzarski oraz stolarski. Ich właściciele byli także w USA. Jeździła tam również Anna Laskowska, nauczycielka miejscowej szkoły podstawowej (mężowie dwu innych są teraz w Stanach oraz jeden nauczyciel); był Wacław Waszkowski, kościelnik.

— Proszę wszystkim podać pół litra na stół i oranżadkę — zarządził kelnerce John Kowalski w ekskluzywnej i jedynej w T. knajpie „Pod rogaczem”. Ta scenka, wyjęta żywcem z Dzikiego Zachodu, wydarzyła się we wsi tylko raz i bardzo dawno temu. Normalnie ci, którzy byli w Stanach, jak i członkowie ich rodzin, zajeżdżający czasami z wielkiej wody, szanują każdy cent i każdą złotówkę. Rozpoznać dom wioskowego „Amerykana” łatwo: murowany i obowiązkowo piętrowy. W roku 1981 z Łomżyńskiego wyjechało do strefy dolarowej 18 tysięcy osób. Obecnie przebywa tam 4 tysiące „wakacyjnych”.

W domach — standard. Łazienki, centralne, dywany (ale nie persy), skóry (ale nie tygrysie), meblówkianki na wysokim polysku, na lustrzanych półkach — kryształ; obszerne, dobrze wyposażone kuchnie. Nie w każdym kolorowy telewizor czy pralka automatyczna. Nie przy każdym — wóz. W jednym tylko, u Laskowskiej, od normy odbiega obecność pianina i półki z książkami. Szczególnie zawiędaną minę robię po obejrzeniu pokoju Rudzkich. Ich synowa, mieszkająca — jak mówi — na polskim piętrze, obiecywała mi, że parter będzie amerykański. Rudzka widząc moją reakcję, usprawiedliwia się: — Trudno teraz coś dostać. — Jedynie wnętrze domu futrzarza Antoniego Sokola lekko mnie zatyka: pokoje żywcem wyjęte z prospektu reklamowego. — Skromnie, ale ujdzie, prawda? — pyta Sokolowa.

Mały człowieczek w wielkim środowisku

Zaproszenia zaczęły się sypać na początku lat siedemdziesiątych. Akurat wtedy amerykańscy wojowie z najnowszej — powojennej — emigracji stanęli twarzą na tamtejszym gruncie. Gagarinem lotu na drugą półkulę była Waleria Rudzka. Pierwszy raz wyjechała w sześćdziesiątym dziewiątym do siostry. Wróciła po półtora roku z wieścią o siostrzynie-milionerce. Na ulicy 1 Maja odżył mit czystobuta. Na Okęciu zaroilo się od mieszkalców T. i sąsiednich gmin. Z „ulicy” wszyscy jechali do Chicago.

Wyruszyliśmy po żniwach — mówi Rudzki, który wraz z żoną wybrał się w roku 1971 — gospodarke zostawiliśmy synowi. Ostatni mój zarobek w piekarni wyniósł 1800 złotych. Po przylocie kuzyn raz-dwa załatwił nam „securitę”. Bez tego nikt nie przyjmie do pracy. To taka kartka z numerem i naz-

wiskiem; cały dowód osobisty. I do roboty. Tam rodzina jest tylko na dzień, później radz sobie sam. Trafielem paskudnie. Przez pierwsze dwa miesiące obijałem blachą drewniane domy. Zarabiałem 50, czasami 70 dolarów na tydzień; tyle, żeby zapłacić i z głodu nie umrzeć. Potem trafiłem do garbarni. Pracowałem tam już do końca pobytu: przez dwa lata, po 10—12 godzin na nocnej zmianie, za 4,25 dolara na godzinę. Zatrudnionych było 460 ludzi najrozniejszych narodowości — na trzy osoby administracji. Nauka była krótka: pół dnia boss kazał stać przy maszynie i tylko patrzeć, następnie — brać się do roboty. Przykrawałem skóry. Nie mogło być na nich żadnej zmarszczki, bo wpalały się w tym miejscu w czasie suszenia. Każdy swoją parafę stawiał na skórze i było wiadomo, kto spartolił. Takim potracali. Gorąc był straszny. A najgorzej było, jak przychodziły skóry do rur. Klajem Amerykę. Dyscyplina jak rzadko. Nie wolno palić; jak podpięto zauważyli, wygnali. Jedna minuta spóźnienia, pół godziny nie pracujesz. A tam czas znaczący pieniądź. I to jaki! Pierwszy czek (czeki dawali w każdy czwartek) — ponad sto dolarów; drugi już dwieście dwa. „O, ładnie, stara” — powiedziałem do żony Największy, jaki dostałem: 292 dolary. Tam w pracy jest taka zasada, że drugi nie wie, ile zarobiłeś. Zarobki szły w górę, jak ceny rosły. W mojej fabryce właściciel nie chciał podwyższyć, więc związek zawodowy zagroził strajkiem. Podwyższył, ale skubaniec, podkreślił maszyny. Wtedy mi płacili 5,48 dolara. Ja po roku już chciałem wracać. Za ciężką pracę na ręce. Czasami już po godzinie stawy wysiadały.

— Mogliśmy zostać jeszcze trochę — odzywa się na to Rudzka.

— Wtedy byś mnie musiała tyżeczką karmić, bo ręce bym zupełnie zdmal — broni się Rudzki.

Każdy z kłasiadów Rudzkich po swojemu przeżywał amerykańską odyseję.

— Odczułem, że jestem małym człowieczkiem w dużym środowisku — rozpoczyna swe amerykańskie story Waszkowski. — Co ja przedtem wiedziałem o Stanach? Tyle co

różne gry — Antoni Sokół, kipiący energią, nie gonil wyłącznie za groszem, to i wrażenia ma bogatsze.

Tutaj do Augustowa czy Głizycka człowiek pojedzie, sama woda; tam, co dusza zapagnie! Na każdej ulicy burdel; jest szyl, goła babka. W środku szefowa daje katalog; zdjęcia panienek od 16 do 35 lat. Wybierasz. Wychodzi. Oglądasz. Podoba się, bierzesz. Każdy numer w łóżku: 15 dolarów.

Oho! Czego to ja się przy okazji dowiaduję — kokieteryjnie odzywa się żona Sokola.

W drogich lokalach wstęp 5 dolary. Przychodzi do stolika nagiśienka mewa, siada na kolanach. Trzeba jej drinka za 5 dolarów postawić. Numer kosztuje 50 dolarów, ale co za klasa! Mówię panu, tylko jechać!

Zielony raj

Mnie się podobało takie ich urządzenie: „kompetejszyn” — Rudzki wymienia swoje „spodobania”. — To jest wyrównanie. Przykładowo: jeżeli zarobki są poniżej 110 dolarów, związek dopłaca. W ten sposób otrzymałem 800 dolarów dodatkowo. Spodobabo mi się, że tam za dolary wszystko: i ślub, i rozwód. Siedzi, na przykład, tak jak teraz. Jest noc. Chcemy wypić. Nie ma w domu ani kropelki. Dzwonię. Po chwili przywożą, co chcesz, i zagrychę, i papieroski.

Cenię Amerykę za jedno — mówi Sokół — czy Polak zajędzie, czy Chińczyk, czy protestant, czy ateista, każdy pracuje. Każdy jest swobodny. Tam nikt się nikim nie interesuje. Robisz, co chcesz. Ja tam byłem trzy lata. Niedawno wróciłem. Teraz jest córka. Artur, jej narzeczony, robi w fabryce.

Zna doskonale angielski — chwali przyszłego zięcia Sokolowa. — Teraz ma wpłacić 5 tysięcy dolarów i zrobić kurs komputerowy. Młodsza też chce jechać — pokazuje zdjęcie ładnej dziewczyny — ale nie puszcza, niech szkołę zrobi. My tu już zostaniemy — na nasz wiek zmieniać życie.

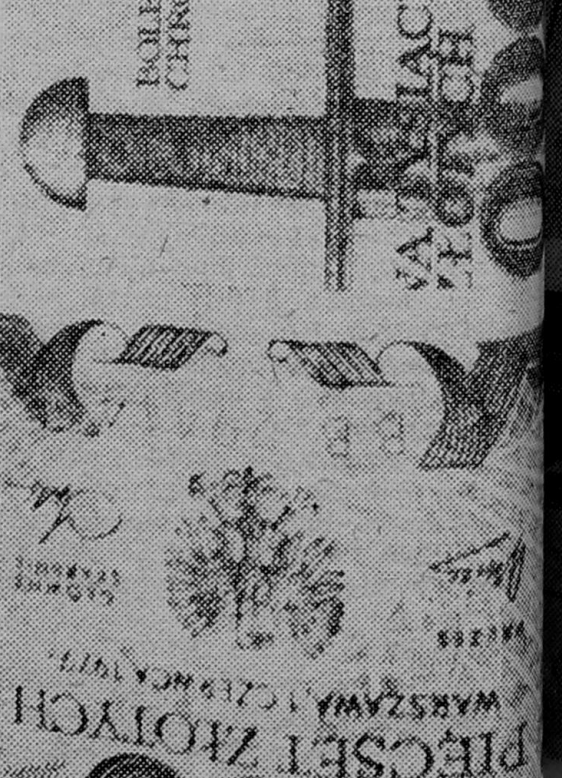
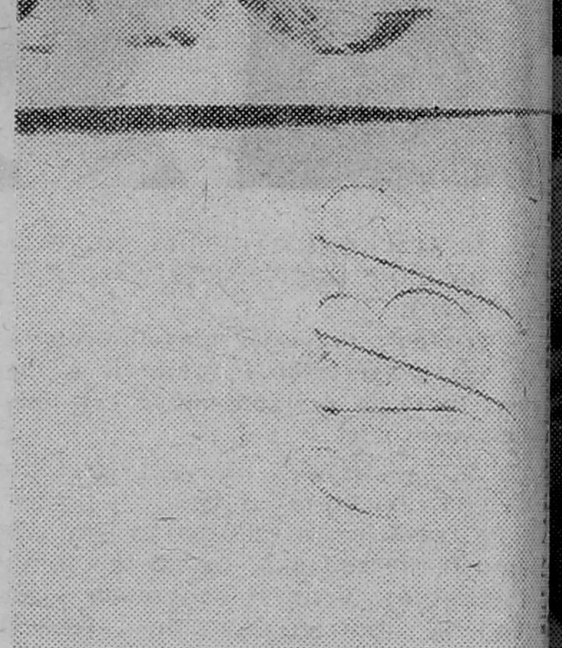
Tam żadna praca nie hańbi — Laskowska pracowała w piekarni, nakładała ciasto do foremek. — Człowiek pracy jest otoczony pow-

dolarów. Jak nie masz, gdy spadną, nabijają. Masz za mało, też nabijają. Przestępstw gospodarczych nie ma, tylko kryminalne.

Lekarze są bardzo drodzy — o innym minusie Ziemi Obiecanej opowiada pani Waleria. — Jedną wizytę: 50 dolarów. Zachorowałam raz na grype, na uszy mnie poszło i ogłuchłam. Mówię do męża: „Idę do lekarza”. A mąż: „W Polsce pojedziesz”. Pół dniówki tylko nie dałam rady pracować. I przeszło.

Ludzie? Różni i różnych narodowości. Ja tam się czułem jak w więzieniu — wyznaje pan Karol. — „Wakacyjnego” w każdej chwili mogła „Emigrejszyn” złapać. Płać trzy tysiące dolarów kary i wracaj do siebie. Górale byli wredne. Podawali na „Emigrejszyn”. Jeśli chcieli znajomka do pracy wsadzić. Nas przykrość tylko raz spotkała. Szła za nami jakaś kobieta z Północy i mówi: „Z Polski sami komuniści tu przyjeżdżają”. „Ty durna — ja jej na to — wiesz, co to komuniści? Szybko się oddaliliśmy.

Nie każdemu Ameryka służy — kładzie pani Waleria kolejny cich na barwny oleodruk made in USA. — Stąd kobieta już cztery lata bez męża jest. Z trójką dzieci ją zostawił. Albo Kupisowa; była z mężem,



szechnym szacunkiem. Robotnik więcej zarabia, i to dużo, od białokolnierzykowców, umysłowych. Inne plusy, np. kulinarny: w restauracjach pyszne, zawsze świeże, jedzenie. Zasada jest taka, że kotlet, który powinien ważyć 10 deko, waży 12. Plus motoryzacyjny: kierowcy jeżdżą bez prawa jazdy. Kolega zasnął raz pijany pod światłami. Kolegium polegało na tym, że obejrzał film o prawidłowym zachowaniu się na jezdni i zapłacił za egzamin testowy. Plus obywatelski: człowiek jest wolny przed i po słowie. Podczas kampanii wyborczej, którą wygrał Reagan, jego przeciwnicy oczerniali go na wszystkie strony. Przeciwnicy Cartera robili to samo w telewizji, w gazetach, na ulicy... Plus komunikacyjny: co minutę podjeżdża pod przystanek autobus. No, starczy, papieru panu zbraknie.

Dziury w raj

Co się nie spodobało? — Zamyśla się pan Karol. — Jak kogo napadną, nikt nie pomoże. Będzie stał obok, to się odwróci, żeby nie widzieć. Tylko „wakacyjni” biegle, jak kto wołał o pomoc. Naigorsze te „Portorikany”. Weźmie taki narkotyk i wszystko mu obojętne. Rozmawia z tobą grzecznie, nagle, ciach nożem! Jeden z tutejszych poszedł do roboty w czasie strajku. Tłumaczyli, że nie wolno. On na to, że musi zarobić, bo jest czasowo. Wrócił w zalutowanej trumnie.

W gazetach ciągle pisali o napadach — dopowiada pani Waleria. — Raz zamordowali dziesięć siostr zakonnych. Tam każdy ma broń. Mnie też zaczęli jeden. Byłam pięć kroków od pracy. Chwycił torebkę: „Giw mi pakiet”, pchnął mnie i uciekł. Zaraz była policja. Policji tam bardzo dużo. Ciągłe kraja samochodami.

Wychodzisz na ulicę — kontynuuje ten wątek mąż — weź pięć



on znalazł panią, a na żonę na-
stał facetów, gdy wracała z pracy.
Podab się za „Emigrację”, okra-
dli, zawieźli na lotnisko i wsadzili
w samolot. Wróciła tak, jak stała
Teraz siedzi z czwórka dzieci.

— Zna mego kolegi — podaje in-
ny przykład rozbicia rodziny syn
państwa Rudzkich — napisała ze
Stanów: „Zasadź kartofle, wracam
jesienią, pomogę zbierać”. On zasa-
dził, a jej już czwarty rok nie ma.

— Albo kobieta z sąsiedniej wsi
— przypomina sobie pani Waleria.
— Mąż po dwóch tygodniach po po-
wrocie zmarł. Została z czwórką
dzieci. Jeszcze młoda. Mąż jednej od
nas ciągle pisze listy: „Wykup mnie
bilet powrotny”. Wszystko prze-
puścił.

Powroty
— Pierwsze dni po powrocie tro-
chę się pokręca, poparadują w dżin-
sach — mówi sąsiad „Amerykanów”
— a potem naciągają stare portki i
biorą widły w garść.
Państwo Rudzcy zarobili 30,5 ty-
siąc dolarów. Jeszcze w Stanach
wypłacili 1950 synowi na dużego fia-
ta. Po powrocie drugiemu synowi
kupili wóz i dom w Sopocie. U sie-
bie dobudowali piętro.
— Zatrudniłem się po przyjeździe
jako straż. Trzeba do renty dorobić.

Dolary to nie wszystko — Rudzki
żegna się, wkłada czapkę i idzie do
roboty.

— Powrót bardzo przeżyłam —
Lasocka jeszcze dzisiaj, gdy to mó-
wi, jest zdenerwowana. — Ogłoszo-
no mnie wrogiem ustroju, zwolniono
ze szkoły. Męża zdjęto z komendan-
ta posterunku. Rok przepracowałam
w Spółdzielni przy świnich. Potem
wróciłam do szkoły. A przecież do
Stanów jechałam jak na rzeź. Mu-
siałam: dwieście tysięcy miałam dłu-
gu. Po powrocie dolary wpłaciłam
do banku. Teraz mogę korzystać
tylko z procentu, i to w bonach. Je-
dnak nie zamieniałabym się na Ame-
rykę. Taki dom, jak ja mam, u nich
kosztuje 350 tysięcy dolarów. To oni
zadzroszczą nam, gdy tu przyjeź-
dzają.

— Gdy odlatywałam, celnik mnie
się pytał, czy zarobiłam — Sokół
pracował przy kryciu dachów pa-
pą. — Tak, mówię. Klepnął mnie
po plecach: „Good man”. Wylado-
wałam na Okęciu. Paszport, co
przywozisz...

Zarażeni

Komendant posterunku MO w T.
może tylko jedno powiedzieć o A-
merykanach: — Jako do obywateli
nie ma zastrzeżeń, nie wchodzi w
kolizję z prawem.

— A co pan sądzi o tych wyjaz-
dach jako gospodarz polityczny gmi-
ny — pytam I sekretarza KG PZPR.

— Przed wyjazdem solidnie pra-
cowali. Tam harowali. Wracają
i szybko stają do roboty. W restau-
racji się ich nie widuje. W moim
osobistym odczuciu, ci ludzie nie
zasługują na potępienie. Pieniądze
tam zarobione procentują u nas.
Spływają do gminy maszyny rolni-
cze, ciągniki, samochody, rozwija
się budownictwo. Nie wiem tylko,
do jakiej szufladki włożyć taki pro-
blem — sekretarz uśmiecha się za-
żenowany — tam pojedzie i dorobi
się w dwa lata. To wpływa na ich
mentalność. Rodzą się porównania...

Naczelnik gminy ma tylko jedno
zastrzeżenie: — Gospodarstwa tych
podróżników podupadają. Statys-
tycznie bije to w gminę.

Ksiądz proboszcz jest zdania, że
jeśli kogoś Ameryka psuje, to tylko
tych, którzy tam nie byli.

— Podczas koledy w jednym z
domów rozplakał się przy mnie
starszy mężczyzna. Był w Stanach.
Wpłacił synowi na dom w Białym-
stoku i samochód. Po powrocie
wziął szynkę i pojechał do niego na
święta. Ten wyrzucił go za drzwi.
Tak, mówi się, że są zarażeni ame-
rykańskością. W tym sensie, że zo-
baczyli, co to znaczy wydajna pra-
ca. Zaczęli myśleć tamtymi kate-
goriami i wiele spraw u nas ich
drażni.

W Wydziale Paszportowym w
Łomży, gdzie wydaje się przepustki
do zielonego raj, wisi wzór pra-
widłowego wypełnienia kwestiona-
riusza. Adres wyjazdu — Chicago.
Naczelnik Wydziału rozpoczyna roz-
mowę od liczb: — Za granicą zos-
tało około 400 osób od 1981 roku. Ta
liczba jest płynna. Często, zwłaszcza
młodzi, przedłużają pobyt dotąd, aż
zarobią tyle, by nie wstydzić się po
powrocie. Częściej zostają kobiety,
zwłaszcza panny oraz osoby star-
sze, które jada tam chować wnuki.
Część, ale to margines, nie ma za
co wracać. W stanie wojennym po-
wróciło 1200 osób. Najwięcej wy-
jazdów (80 proc.) jedzie do USA,
potem Turcji (kożuchy), RFN-u,
Austrii. Głównie jedzie wieś (60
proc.), potem robotnicy oraz urzęd-
nicy. W stanie wojennym wydali-
my 800 paszportów. Jednak 80 proc.
tych osób nie otrzymało wiz. Wy-
padków śmiertelnych w 1982 roku
było 12, w tym jedno morderstwo.
Ci, co wracają, są zadowoleni, że
zarobili, i rozgoryczeni, że to nie
ta Ameryka z filmów. Za byle uch-
ylenie wyrzuca się tam na zbity
pysk.

W hierarchii społecznej „waka-
cyjni” są tuż za Murzynami, dla-
tego Murzyni ich lubią. To jedna
cena pobytu; druga jest niewierność:
małżeństwa wkalkulowują zdradę
w taki wyjazd. Jeden człowiek za-
raz przy powitaniu powiedział zo-
nie: „Żyłam tam z kobietą, przywo-
złam 23 tysiące dolarów, czy mnie
przyjmiesz?” Przyjęła. Żyją najta-
niej: wynajmują sutereny, gnieź-
dzą się w nich po kilku, oszczędza-
ją na jedzeniu. Tylko praca i łóżko.
Nie ukrywają tego po powrocie. Je-
dynie ludzie z wyższym wykształ-
ceniem wstydzą się faktu, że łapali
brudne roboty. Jeden lekarz mówił
mi, że pracował w szpitalu. Później
dowiedziałem się, że ryby ładował.

Trzeba na te saksy spojrzeć z róż-
nych punktów — kończy swoją oce-
nę naczelnik. — Ekonomiczne ko-
rzyści są duże. Praca tam nie przy-
nosi jednak splendoru naszemu kra-
jowi. Jest również aspekt społecz-
no-polityczny. Jeżeli dwaj koledzy
pracowali na tym samym stano-
wisku, a jeden z nich jedzie i w
krótkim czasie się dorabia, kupuje
dom i samochód, to drugiego nerwy
ponoszą. Te sprawy wymagają jed-
nak wnikliwych badań. Nie można
wysnuwać pochopnych wniosków.

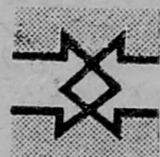
Na „ulicy Amerykańskiej” cicho
i spokojnie. Czasami śmignie samo-
chód Ulica ożywa na moment po
piętnastej. Z knajpy wytaczają się
pijani do autobusu. „Amerykanie”
wracają z pracy, krzątają się po
obejściu, potem siadają przed tele-
wizorami. Waszkowski właśnie i-
dzie z obory. Jest podenerwowany.

— Człowieka czasami taka złość
bierze, że by wyjechał tak, jak stoi.
— Wszyscy wyjedziemy i kto zos-
tanie? — pytam. — Tutaj jest nasz
skrawek Ziemi.

— Wiem, wiem: „Litwo, Ojczyzna
moja...”

Nazwiska osób zostały zmienione.
Fot. GABOR LORINCZY

spiećcia



9
KONTAKTY
20 II 1983

Ginekolog z przychodni w osie-
dlu Jantar w Łomży przyjmując
pacjentkę zastrzega od razu, iż le-
czy tylko dolegliwości związane z
ciążą. Rzadko się zdarza, by ktoś
zmuszał, żeby mu w czasie pracy
patrzeć na ręce.

WZSR w Łomży wyrzucił w
styczniu 1600 kilogramów cytrusów
na śmietnik. Pospiesznie wywozła
je stamtąd śmieciarka celem zado-
łowania. Co podajemy celem zapu-
dłowania.

Wojewódzka Stacja Sanitarno-E-
pidemiologiczna w Łomży od la-
t gnieździ się w kłitkach, sąsiadując
przez ścianę z siedzibą koła łowiec-
kiego „Jedność”, w której dwóch
ludzi hasa po osiemdziesięciu me-
trach kwadratowych. Niestety, są
oni niezbędni, gdyż Sanepid nie
chce przyjąć na siebie obowiązków
zbijacza baków.

Dyrektor jednego z przedsię-
wzięć pochwalil się publicznie, że
jego firma jest najlepsza w całym
makroregionie. Przez roztargnienie
zapomniał dodać, iż jest ona zara-
żona na tym obszarze jedyną
nim się przypnie paw ogon, wa-
to wiedzieć, że łatwo oberwać po
piórach.

Punkt skupu opakowań w „bla-
szaku” w osiedlu Jantar w Łom-
ży znowu nie przyjmuje butelek po
mleku i śmietanie, lecz odsyła kli-
entów do pawilonu spożywczego.
Ekspedientki twierdzą, iż postępu-
ją zgodnie z zarządzeniem prezesa
WSS-u. Nie jest to pierwszy prz-
padek, że prezes z wielką mocą
dmie w butelkę, a słuchaczy dobie-
ga cienki głos fujary.

W nowoczesnym pawilonie han-
dlowym WDT w Czyżewie eks-
pedientki dla rozgrzewki grzeją so-
bie w ping-ponga. Jest zimno, gdy
władze geesu zaskoczyła zima. W
ogóle życie co i rusz obala twier-
dzenie klasyka, że tylko śmierć
miłość i sraczka zaskakują człowie-
ka zniemacka.

Do niedawna mleko z gminy Go-
niądź trafiało do Moniek, czyli wo-
żono je około dziesięciu kilometrów.
Obecnie funduje mu się przejażdż-
kę trzydziestokilometrową do mle-
czarni-giganta w Grajewie. Zmiana
ta, nie wspominając kosztów, na-
ruszyła struktury samorządowe do-
stawców, których nikt o zdanie nie
pytał. Bo chłop żywi i się najwy-
żej skrzywi.

Białostockie przedsiębiorstwo roz-
powszechniania filmów postanowiło
założyć w Wiźnie stałe kino. Od
władzy gminej wymagało jedynie
drobnego uporządkowania przysze-
łego siedliska Muz: załatwienie niewiel-
kiej dziury i dobudowanie jednego
schodka. Fanaberie te wywołały
zgorszenie naczelnika, który stwier-
dził, że gdy przyjeżdża kino objaz-
dowe film bez tego dobrze leci. Oj-
leci się, leci, panie naczelniku, nagle
pac! i się spada



Jest środek lata 1979 r. W młynie wodnym Franciszka Dąbrowskiego w Bartkowie nad rzeką Ruż życie płynie wolno tak wolno że zdaje się iż lada chwila zatrzyma się zupełnie. Dla młyna i jego właściciela stanęło ono już przed siedmiu laty — w momencie zatrzymania wielkiego koła.

Przed laty w tym — niezwykle uroczym — zakątku Ziemi Łomżyńskiej było rojno i gwaro. Teraz również mogłoby tak być bo maszyny młyńskie nadają się do użytku a wody w Rużu nie brakuje. Jest również duże zapotrzebowanie na usługi młyńskie dla czterech okolicznych gmin.

Młyn został unieruchomiony bo taka była ówczesna polityka władz. Likwidowano wówczas wszystkie młyny prywatne. Jednostce uspołecznionej prowadzenie młyna wodnego nie kalkuluwało się; oczywiście, nie ze względów ekonomicznych, bo energia wodna nie kosztuje ale organizacyjnych.

I oto w senną atmosferę nadrzecznego uroczyska wdziera się nadzieja przebudzenia. Na dziedziniec przed młynem zajeżdżają samochody. Jeszcze nie z pszenicą w bagażnikach, ale stary młynarz dostrzega w oczach przybyłych — szczególnie tego z mercedesa z warszawską rejestracją — niezwykle zainteresowanie starą budowlą i jej równie starym wnętrzem.

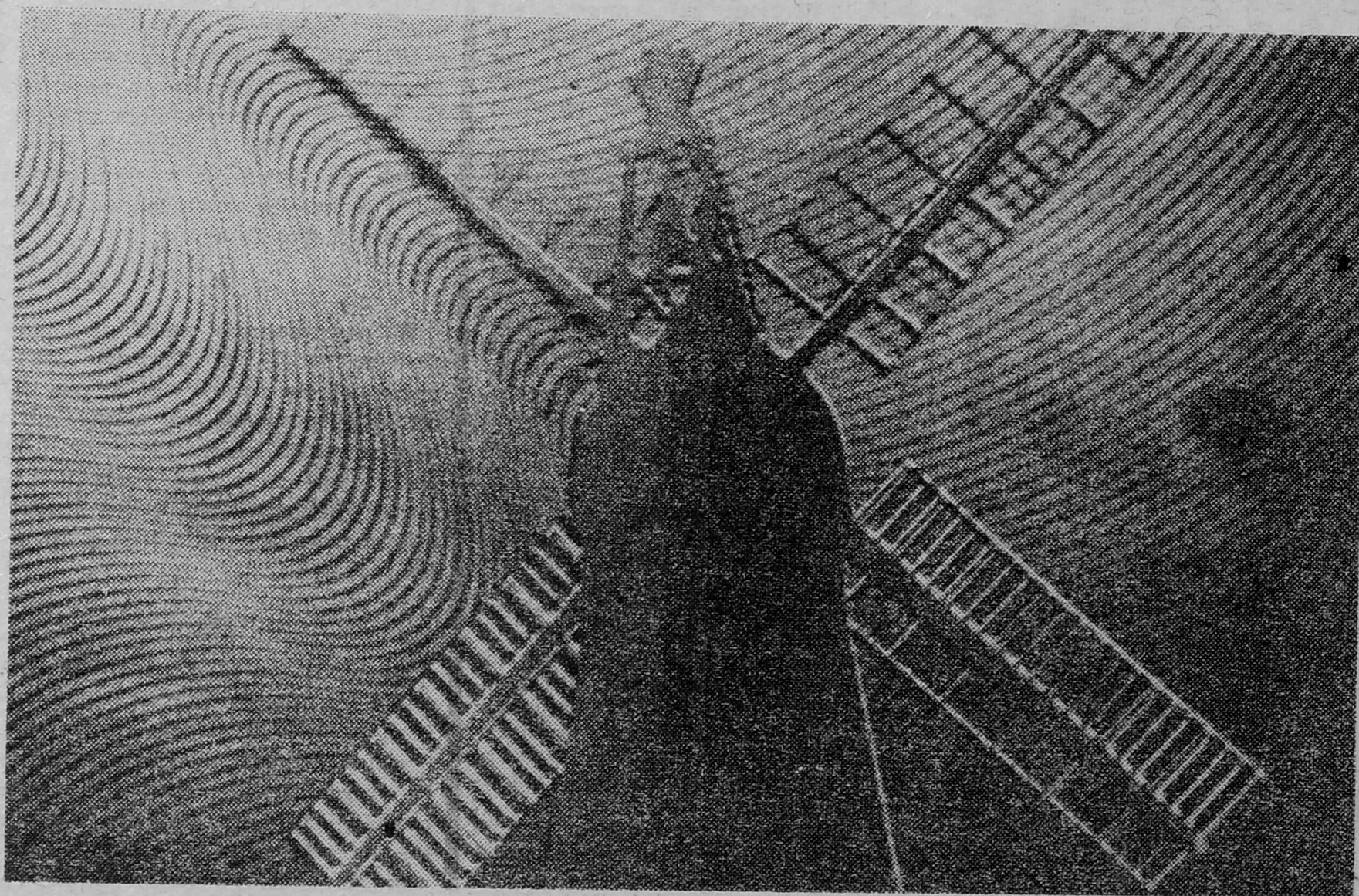
Z przybyłych młynarz zna tylko naczelnika gminy. Może poznałby również gościa z mercedesa, ale rzadko ogląda telewizję. Do Bartkowskiego to cudo dwudziestego wieku jeszcze nie dotarło. Goście pragną obejrzeć młyn i proszą o oprowadzenie. Zachwycają się prostotą i pomysłowością urządzeń.

— Czy to da się jeszcze uruchomić? — pyta gość z Warszawy.

— Ależ tak. Trzeba tylko wszystko sprawdzić, usunąć drobne uszkodzenia i nasmarować. Kiedyś taki przegląd sam robiłem przed każdym sezonem — odpowiada młynarz, a serce zaczyna mu bić radością. Znowu słyszy szum obracających się żaren i olśnienie wody na wielkim kole.

— Ma pan już swoje lata i młyn nie poprowadzi. Złóż chyba nie wie sie do tego zawodu. My odkupimy od pana młyn i damy miesz-

Wielki młyn do



kanie w mieście — przywołuje go do rzeczywistości głos gościa. Proszę dobrze się zastanowić, poradzić z rodziną i natychmiast odpowiedzieć naczelnikowi gminy.

Nazajutrz naczelnik sam zjawia się po odpowiedzi. Młynarz chce dowiedzieć się czegoś więcej o kandydacie na następcę. Nie zamierza oddać darunku swego życia a niechajowe tere. Nie chce się dawać zure ale uspokaja go zapewnienie naczelnika że to naprawdę godny następcę.

Cena za młyn jest nawet nieobyt wycenowana tylko 12 miliona ale jedno mieszkanie w mieście nie wystarczy. Dąbrowski żąda czterech mieszkań dla siebie i trzech dorosłych dzieci. Wkrótce więc tuż na wojewódzkim szczeblu spadają nieskie decyzje. Naczelnik gminy

wykupi młyn wodny za pieniądze uzyskane z województwa a później... odsprzeda go za symboliczną złotówkę szanownemu gościowi ze stolicy. Prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej otrzymuje zadanie „zabezpieczenia” czterech mieszkań. Na razie nie ma mowy o tym kto za te mieszkania zapłaci. Nazwisko nowego „młynarza” nie pada niedługo ale zainteresowani wiedzą, o kogo chodzi. Rozpoznają w nim jednego ze ścisłej czołówki krajowych prominentów. Wiedzą również liczni wtajemniczeni, ale wyłącznie na swój prywatny użytek.

— Taki prezent powinien się województwu sowiec opłacić — myślał ci pierwszy.

— Ale ma facet gest za państwowe pieniądze. Pewnie przeżyte trudne dzieciństwo i teraz chce nadrobić — konkludują drudzy.

Przeszkoda w zrealizowaniu celu pojawia się z najmniej oczekiwanej strony. Notariuszka żąda takiejś „promes limitowej” i bez niej aktu sporządzać nie chce. Odsyła naczelnika do Urzędu Wojewódzkiego.

Urzędnik wystawiający owe tajemnicze „promesy” jest nazbyt dobiekliwy. Chce wiedzieć wszystko: dla kogo, w jakim celu, kto zapłaci. Naczelnik Rakowski nie jest upoważniony do ujawnienia tajemnicy służbowej, więc odchodzi z kwitkiem. No może nie zupełnie z kwitkiem bo z kopią zarządzenia premiera kategorycznie zakazującego wykupu nieruchomości na tzw. nieinwestycyjne cele.

— Niech sobie — tu pada nazwisko niesubordynowanego urzędnika — d. tym świsłkiem podater! — usłyszy naczelnik Rakowski parę pięter niżej. Idź i powiedz mu że kazałem wystawić te zapierzoną promesę bo jak nie wystawi, to...

Tymczasem urzędnik nie ustępuje. Wie że ma rację i poparcie szefa, który — aczkolwiek wtajemniczony — od początku nie podziela pomysłu obdarowania młynem warszawskiego prominenta. Czas mija, nowy właściciel denerwuje się, po nagle. Chce jak najszybciej przywdziać liniany ubiór młynarza i — z dala od trudnych problemów kraju — wsłuchiwać się w uspakajający szum wody na młyńskim kole.

Tak nadchodzi pamiętny sierpień 1980 r. Niespodziany młynarz na Bart-

NA PIĘCIOLINII

ring na klawiaturze

Eksplozja młodzieżowej muzyki rozrywkowej, w nieznanym do tej pory rozmiarach, spowodowała, że zakłóceniu uległo sporo zjawisk naszego życia estradowego. Nie bez znaczenia pozostał także fakt znacznego rozluźnienia przepisów, mających zbliżyć nas do sytuacji normalnej, czyli obliczonego zachodniego show-buissinessu. Na stety, sprawę całą zaczęło się robić — jak to zwykle u nas bywa — końca, stąd nadal tyle nonsensów wśród nich gangsterstwo rozwija się arcypięknie.

Do tej pory monopol na sprawowanie programów estradowych w poszczególnych miast miały „Estrady”. Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe i okazjonalnie inne firmy, co w zasadzie nie stwarzało typowym pierwszym poważniejszym kłopotów, bowiem — jak wspominałem — koncerty odbywały się jednorazowo, sporadycznie i przy sporej ilości wykonawców reprezentujących różną gatunki muzyki. Jeśli więc w jakimś tygodniu wystąpił Czesław Niemen i trzy dni później Irene Santor, wiadomo było iż zarówno jeden, jak i drugi wykonawca mógł liczyć na konkretną, wierną publiczność, czyli jednym słowem — na widowie.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy — od dwóch mniej więcej lat — rynek estradowy bez reszty opanowały zespoły rockowe, jedyną cześć zaś znacznie wzrosły ceny biletów. Dość powiedzieć, że obecny bilet na koncert „Budki Suflera” czy „Republiki” kosztuje 200—300 zł, a to na koncert w sali, gdzie mieszczą się ponad 1000 słuchaczy. Ponieważ młodej publiczności — a ona przecież jest wyłącznym odbiorcą tej muzyki — jest w zasadzie wszystko jedno, kogo będzie słuchać, zaczęło się dwóch zespołów w tym samym terminie i w tym samym miejscu zakrawa na tragedię. Dla organizatorów ma się rozumieć Wydrenowa na prześ „Maanam” kieszonki młodzieńczego fana nie wytrzyma, niestety bliskiego koncertu „Kasy Chorych” i odwrotnie. Gdyby odstęp wynosił trzy cztery tygodnie, może jeszcze udałoby się namówić rodziców na kolejną wyprawę, ale w tej sytuacji?

Monopol na prowadzenie działalności estradowej mają wprowadzić w poszczególnych województwach — firmy w tym celu powołane życia i wjazd gości zależy od decyzji dyrektora odpowiedniego wydziału kultury i sztuki urzędu wojewódzkiego lub miejskiego, ale w dobie reformy gospodarczej samofinansowania się najbardziej nieprawdopodobnych instytucji wolnej konkurencji w określonych — ma się rozumieć — granicach sprawia że taka działalność biera się również nieprawdopodobnie płacówki. Z sztywnego podwórka można wymyślić przykład: biura podróży znęcone brakiem klientów organizują sprzedaż biletów MPK i na chłopski dla dzieci w zakładach pracy. Może to jest podróz do nieba?

Nie w tym dziwnego, że opiekunowie zespołów rockowych poczynają koniunkturę (pisaniem o tym w jednym z felietonów) i za wszelką cenę chcą szybko nabić kabzę, wyciekając doświadczenia, jak długo trwa moda. Przecież to pewne i wkrótce zachłystnie się rockiem minie; owszem, ta muzyka nadal będzie grana, ale przestaną na nią walić miliony młodych słuchaczy. Po prostu z fenomenu przekształci się w normalny objaw naszego życia artystycznego. Wzajemnie podjadają więc tu szeroki wymiar, zrywa się plakaty konkurentów, wypożycza atrakcyjniejsze sale, organizuje kiermasze z płytami i materiałami reklamowymi, skacze dziennikarzy z lokalnych pism, zapewnia sobie jak najlepszą reklamę i wreszcie — puszcza się fałszywe wiadomości, plotki, pomówienia.

I to jedynie — jak dotąd — nasz przemysł rozrywkowy zbliża się do praw dżuneli rządzących przemysłem zachodnim. Bo na podobną muzykę przyjdzie jeszcze chyba poczekać ze dwadzieścia lat.

JAN JANUSZK

refleksje

Wielki młyn do

HEMILO

FOL GABOR LORINCZY

synek

Ciemne, kręte schody. Kurezo-wo trzymam się poręczy. Z trudem odczytuję nazwisko na wizytówce. Otwiera mi starsza pani. Wyjaśniam cel swojej wizyty. Zyczliwie zaprasza mnie do środka.

— Syna jeszcze nie ma, ale już powinien być — podchodzi do zegara. — Tak, na pewno. — Uwierdza mnie w tym przekonaniu.

Pokój tonie w kwiatkach, jest ciicho i przytulnie. Na półce dostrzegam fiołki z lekami. I nagle czuję, że w tym domu, oprócz starszej pani, mieszka smutek, do którego już się przyzwyczaiła. Przez chwilę kreśli się po kuchni, wnosząc herbatę. Siada przy stole.

— Przepraszam bardzo, ale teraz potrzebuję wypić krople — w milczeniu odmierzając przepisane dawki. — Muszę jeszcze zajrzeć do kuchni, bo jak syn wróci, chce, żeby było wszystko gotowe — wychodzi.

Oprócz smutku mieszka tu jeszcze człowiek, któremu od 50 lat poświęca swoje życie — syn. Raz pobili go do nieprzytomności, a teraz jest mu obojętna lub potrzebna wtedy, gdy wnoszą talerz zupy, i wtedy, gdy może zrzucić naczynia ze stołu, aby dać upust swoim nastrojom, bo to przecież matka sprowadziła na niego milicję i postawiła przed sądem. A więc niech cierpi za ten grzech, za krzywdę, wyrządzoną własnemu dziecku.

Ciekawa jestem, jak wygląda ten „pokrzywdzony i dręczony”; matka pokazuje mi fotografie: — Tutaj, proszę pani, miał 20 lat. Tak, był bardzo dobry i przystojny chłopiec — powoli przekłada kartki rodzinnego albumu. — Zawsze marzyliśmy z mężem, żeby dobrze ułożyło mu się w życiu. Odkąd zaczął pić, wszystko się zmieniło. Narzeczoną zerwała z nim jednego dnia i... tak już zostało. Coraz częściej wracał w nocy, podnosił na nas głos, a później to już pani wie — przykładając chusteczkę do oczu.

Tak, wiem: art. 184 § 1 „Kodeksu karnego”: „Kto znęca się fizycznie lub moralnie nad członkiem swojej rodziny...”

— Pobili nas bardzo, ale nikomu się nie poskarżyłam. Nawet córka o tym nie wiedziała. Po kilku tygodniach mąż zachorował. Leżał w szpitalu prawie pół roku. I wtedy zrozumiałam, że jestem sama, bo on na pewno umrze. Pochowaliśmy go tutaj — wyciąga rękę w nieokreślonym kierunku. — Dla mnie tam też jest miejsce, bo ja, proszę pani, mam już 76 lat, jestem chora i wiem, że śmierć blisko — wybucham głośnym płaczem.

Przez chwilę tracę głowę. Podaje jej szybko krople, które mi wskazują. Czas mija.

— Jaki syn jest teraz w stosunku do pani? Jak się zachowuje? — pytam, starając się ukryć wzruszenie i chyba lzy, które trochę zacierają mi kontury pokoiu.

— On zawsze był bardzo nerwowym — mówi szybko. — Ale oddaje mi pieniądze, a ja mam emeryturę — dodaje.

— Ile oddaje? — pytam, oczekując zawrotnej sumy.

— 1200 złotych — mówi cicho.

— Za to pani zapewnia mu utrzymanie, pierze brudne łachy, sprząta, stoi w kolejkach i pada ze zmęczenia po każdym wejściu na IV piętro? — rzucam, może nawet trochę za mocno. — Słucha pani jego pijackiego gadania, przesuwania garnków, wiecznego wypominania, że „to wszystko przez panią”, że on chce jeść tylko mięso i nic więcej go nie obchodzi — zbyt głośno odkładam łyżeczkę, którą wymachiwałam wylizując synowskie uczucia.

Matka nie mówi nic. Pochyliła głowę i gniecie w rękach chusteczkę. Zgrzyt klucza. Coś ciężkiego spada na podłogę. Wchodzi syn. Jest zaskoczony. Przedstawiam się: — Jestem pana kuratorem.

— Po co? — pyta nie patrząc mi w oczy.

Wychodzi do kuchni. Słyszę odgłos podnoszonej pokrywki. Starsza pani zrywa się z miejsca.

— Wychodzę. Nic nie będę jadł — słyszę kopnięcie w metalowy pojemnik.

— Chcę z panem porozmawiać — mówię jeszcze spokojnie. — Przyszedłam tu na polecenie sądu.

— Nie mam nic do powiedzenia — zakłada marynarkę.

— Ale ja mam panu coś do powiedzenia! — rzucam ostro. — Proszę o dowód osobisty, podanie miejsca i daty zatrudnienia, zarobków, stanowiska — otwieram notatnik.

W odpowiedzi rzuca na stół cały portfel. Udaję, że nie widzę jego reakcji na moje słowa. Z hrabiowskim gestem siada na krześle i lekceważąco podaje mi dowód osobisty mówiąc: — Wszystko? Co jeszcze? — Reszta w sądzie — odpowiadam hamując wściekłość, która z każdą sekundą ogarnia mnie coraz bardziej.

— Co?! — zrywa się nagle. — Co ci się nie podoba? Znowu na mnie nasyłasz?! — krzyczy na matkę.

— Dosyć! — przerywam głośno. — Mówi pan do matki, która przedstawiła mi pana jako zupełnie innego człowieka. Pan nigdy nie powinien być jej synem. Będę tu przychodzić często, bez względu na to, czy się panu to podoba, czy nie, a na moje pytania odpowie pan w sądzie.

Zrywa się i trzaska drzwiami. Starsza pani płacze. Uspokajam ją, jak mogę. Wiem, że się boi. Boi się od dawna. Kiedyś bała się o syna. Dzisiaj boi się syna. Szybko przytulam twarz do jej policzka.

* * *

W chwili gdy to piszę, starsza pani już nie żyje. Dowiedziałam się o tym z nekrologu. Na kilka dni przed jej śmiercią rozmawiałam z „gnębnym” synem, Zygmuntem M. sztykował się do wyjścia. — Jadę po matkę do szpitala — powiedział cicho, spuszczaając głowę.

najlepszy
dziadek
na świecie

Sąsiadka uchyliła drzwi i widząc, że mam zamiar pukać, mówi przyciszonym głosem: — Znowu się kotłują.

— I często tak? — udaję zaciękawienie.

— O, proszę pani — wychodzi na schody — zawsze kiedy dostaje wypłatę. Jak sobie popije, cały dom się trzęsie, a jej gadanie też nie gorsze.

Pukam i pukam. Dochodzę do wniosku, że i tak nikt nie słyszy, więc naciskam klamkę. Sąsiadka leży mi na plecach, zaglądając do środka. Zamykam jej drzwi przed nosem. Z kuchni dobiegają odgłosy nie budzące żadnych wątpliwości. Wchodzę zdecydowanie w sam środek wielkiej bitwy.

— Bóg pania zesłał! — woła gospodyni. — Ten pijak znowu robi awanturę! — podbiega do męża wygrażając mu pięścią. — Dziecko zostaw! — głośno przesuwając patelnię na kuchni.

Mój podopieczny trzyma w objęciach 3-letnią wnuczkę i, trochę płacząc się, mówi: — Widzi pani, czepia się nie wiadomo czego. Tylko pieniędzy i pieniędzy! A co, ja kopalnię mam? Że człowiek wypije sobie trochę...

— Trochę! — przerywa wzburzoną połówką, wyrzucając mu dziecko, które uderza w płacz.

— Znowu pan pije — stwierdzam krótko.

— A broń Boże! — uderza się w pierś, aż dudni.

— Nie mogę na ciebie patrzeć, ty pijanico! — krzyczy żona. Bierze dziecko na ręce i wychodzi z kuchni. Zostajemy sami.

— Co się dzieje? — pytam.

— E, nic się nie dzieje — odpowiada gospodarz przytrzymując się stołu.

— Ostatnio obiecał pan poprawę. Przyżonie! — przypominam.

— Tak? — udaje zdziwionego. — Ale co tam jej będę obiecywał, jak się stale czepia.

— O co się czepia?

— Nie wiem.

— Przedtem nie oddawał pan pieniędzy, a teraz? Przecież musi być jakaś przyczyna? — podpowiadam.

— Małgosię nastawia przeciw mnie! A ja dla wnuczki dąlbym się żywcem pokroić. Książeczkę kto założył? Dziadek. Zabawki kto kupuje? Dziadek. Kto się z nią bawi? Dziadek. Niech mi pani pokaże drugiego takiego — wypycha do skarbonki jakiś banknot. — Ja jestem właśnie taki: dla wnuczki wszystko.

W zeszłym roku został skazany z art. 208 „Kodeksu karnego” za przewłaszczenie mienia. Jednym z obowiązków nałożonych przez sąd jest nienadużywanie alkoholu. Przypominam mu to jeszcze raz.

— Ja nie piję! — woła.

— Niech go pani nie słucha — wtrąca żona, która wróciła przed chwilą. — Może teraz też nie jesteś zalany?! — siada obok mnie i gestykuluje ciągnie dalej: — Poczekać, łobuzie, niech no tylko Wojtek wróci z pracy, to nie będziesz tak podskakiwał. Wie pani, jak zacznie w poniedziałek, to już nie ma końca. Najpierw tłumaczę, bo umiem być cierpliwa, ale już dłużej tego nie wytrzymam. Niech go pani zapyta, kto do niego przychodzi do komórki. Powie, że koledzy. A to takie same łajdaki, jak on sam. Jeden do drugiego pasuje jak ulał. Zadzwoń kiedyś na milicję, to wam się odechce tego chlania za moimi plecami. Sama pójdę do sądu, bo już cierpliwości mi nie starczy. Wszystkie pieniądze puszcza lekko, bo co mu tam, ale do garnka to pierwszy! Wszystko-przechla w jeden dzień, bo tak mu te pieniądze przeskakują. Wczoraj oddał mi dwa tysiące!

— Ale kłamiesz! — przerywa zdenerwowany. — Dwa tysiące?! Dzieciś dostałaś do ręki i jeszcze ci mało?

— Mało, pijaku! Dał mi dziesięć, a jak wróciłam wieczorem od córki, siedział w komóreczce z tymi łobuzami.



mi. Zawsze tak robi. Udaję, że naprawia motor. Niech no tylko przyjdzie Wojtek! — kończy podchodząc do pieca.

— Ty mnie synem rodzonym nie strasz. Każdy wie, jaka z ciebie kłótniowa baba — mówi spokojnie, jakby nic się nie stało.

— Więc jak to było z tymi pieniędzmi? — pytam.

— Tak jak mówię. Bóg mi świadkiem. Przyszedł kumpel, żeby mu pomógł przy motorze. Zrobiłem, jak trzeba, to postawił pół litra. No to ja drugie, i tak sobie siedzieliśmy. Ona zawsze się przycepi. Z igły zrobi widły. A czy ja jestem byle co? — odzywa się w nim ambicja.

— Pijak jesteś i tyle!

— Widzę, że nie dotrzymuje pan słowa; ani żonie, ani mnie — mówię z nadzieją, że go to skłoni do jakiejś refleksji.

— Oddam ci w przyszłym tygodniu. Zaraz w poniedziałek — zapewnia nagle.

— Ty pijaku! Znam ja te twoje poniedziałki! Nie dasz pieniędzy, nie będziesz jadł! — ucina krótko.

— Nie będę się prosił! — rzuca w odpowiedzi.

Odbijają tę piłeczkę, zwana małżeństwem, od ponad 20 lat. Jedno i drugie chce, aby jego było na wierzchu. Wchodzi Małgosia. Mój podopieczny zrywa się z krzesła, chwytając dziecko na ręce i podnosi wysoko. Słychać radosny śmiech, jakby przerywnik tej odwiecznej rundy.

— Pokaż, jak ty kochasz dziadka — kręci się z dziewczynką w kółko. Dziecko zarzuca mu raczki na szyję.

— Widzisz! — woła do żony. — Widzisz! A babki nie kochasz prawda? — czeka z nadzieją na odpowiedź.

Małgosia rozgląda się po kuchni. Przez chwilę zatrzymuje wzrok na babci Milezy.

— No i co? — pyta zadowolony. — Ty jesteś moja wnusia i nieczyja więcej.

Wzruszający to obrazek, więc rzucam szybko: — A co pan zrobi, gdy wnuczka będzie starsza i wiele zacznie rozumieć? Może się wtedy okazać, że przestała pana kochać.

Trafiam w dziesiątkę. Zapada chwila milczenia. Teraz żona z napięciem oczekuje odpowiedzi.

— Przecież ja nie chcę, żeby mówiła o mnie „pijak” — głoszcze Małgosia po kruczych włoskach i nagle staje się jakby inny.

— Szkoda słów — mówi żona cicho.

Otwierają się drzwi. Dziewczynka szybko zsuwa się z kolan dziadka. — Tata! — woła rzucając się ojcu na szyję.

* * *

W kilka dni później spotkałam Władysława Z. wraz z Małgosią. Szli oboje zając lody. Wnuczka trzymała dziadka za rękę. Na mój widok powiedział: — Widzi pani, my znowu razem. Jak zawsze, bo ja dla niej wszystko! Gdzie jest drugi taki dziadek? Najlepszy dziadek na świecie...

GABRIELA SZCZESNA

Fot. GABOR LÖRINCZY



Wioski wokół naszego poligonu artyleryjskiego w Czerwonym Borze dawno już spały. Noc lipcowa była spokojna i cicha, wywracającą uszy na drugą stronę ciszę, jaką można było słyszeć tylko w tych dawnych, przedwojennych czasach i na takim odludziu jak podlaskie puszcze.

Młody, dwudziestodwuletni podporucznik odbywający swoje pierwsze oficcerskie ćwiczenia rezerwy, siedział na kwaterze przy świecy i pośpiesznie kończył pisanie listu.

Ów pośpiech — racjonalnie zresztą uzasadniony świadomością, że na sen zostało mu już niewiele godzin — był jedną okolicznością mającą atmosferę idealnego spokoju i ciszy tej parnej nocy z 15 na 16 lipca 1938 roku. Atmosfera, w której nie nie sygnalizowało, że przypadek reżyseruje mi niesamowitą przygodę i wypłacie mnie w nią za małe pół godziny.

Wyłożyłem ze stearyny przypaloną świecę i wyciągnąłem się na łóżku. Ledwie przyłożyłem głowę do poduszki i dmuchaniem odegnałem swąd zgaszonej świecy, gdy usłyszałem w sieni brzęk ostróg i pukanie do drzwi.

— Wejść!
— Pismo do pana porucznika — zameldował gońiec z dowództwa pułku i wręczył mi kopertę. — „Porucznik Piekietny — pisał płk Łańkowski — dowódca naszego 10 pułku musi wyjechać do Łodzi. Proszę natychmiast przejąć od niego obowiązki oficera służbowego pułku.”

— Zameldujcie, że zaraz się ubieram i przychodzę.

— Tak jest! — trzepnął ostrogami i wyszedł.

Ubrałem się szybko, ale starannie. Białe żabot pod szyję, rękawiczki. Jeszcze pistolet... Brac, nie brac? — Tam w dowództwie dadzą mi z pewnością służbowy. Ale ja tę służbową broń znam — będzie to jakaś ciężka kolubryna. Mój własny pistolet chyba sposobniejszy: zgrabny, elegancki, a ponadto przedmiot mojej szczególnej dumy — nagroda konkursowa jeszcze z włodzimierskiej podchorążówki. Co prawda magazynek pusty (wystreliło się wszystko do wron), ale chodzi przecież o sam fason: wypada mieć broń przy boku. Przypiąłem kaburę do pasa.

Nie wiedziałem nawet jak dobrze uczyniłem biorąc pistolet. Pusty bo pusty, ale są sytuacje, gdy sam kawałek takiego żelaza w ręce też coś znaczy i znakomicie podnosi samopoczucie.

Po chwili byłem gotów. Spojrzałem jeszcze na zegarek. Była za pięć dwunasta.

Wyszedłem przed chałupę. Takiej dziwnej nocy ani przedtem ani potem nigdy w życiu nie widziałem. Parno, duszno i absolutna cisza. Najłżejszego wiatorku, najcichszego głosu — chyba tylko dalekie szczykanie psa. Na niebie za to — sabat czarownic! Jak w romantycznej balladzie: niziutko — bo ja wiem? może sto, może sto pięćdziesiąt, ale na pewno nie więcej niż dwieście metrów nad głową — koziółkujące kłębowisko czarnych, obrzeżonych złotem chmur. Te złote obwódki to księżyc, który na łeb na szyję szturmuje przez odmy. Co kilkanaście sekund błysk i znowu niebieskawa ciemność. Znowu błysk! I znowu ciemność! A na dole, pod tym zwariowanym niebem — absolutna, dudniąca w uszach cisza. Stąpając po piasku nie słyszę nawet własnych kroków, jedynie monotonny, delikatny brzęk ostróg. Wokół — żywego ducha.

Dowództwo pułku zajmowało szkołę odległą od mojej kwatery o kilometr, może trochę więcej, ale już w innej wsi, po drugiej stronie rzeczki. Wieś nazywała się Zagroby. Żeby się tam dostać, trzeba było przejść paręset metrów prosto, potem skrócić w lewo i koło cmentarza, przejść mostek i rozstaje, po czym kilkaset kroków prosto i już Zagroby, a tam czekał na mnie por. Piekietny.

Minąłem właśnie cmentarz, dochodzę do rzeczki, zaraz wejdę na mostek, gdy nagle... Co, u licha!? Nic nie rozumiem: droga urywa się jak nożem odciały brzeg spada stromo do wody, a mostku... ani śladu!

Dostojnie! Nie ma żadnego śladu, że tu cokolwiek kiedykolwiek istniało. Mostek jakby wyparował! A przecież był! Na miłość boską, był!!! Nie mam żadnych wątpliwości. Jestem tu już drugi tydzień, przechodziłem i przejeżdżałem przez ten mostek kilkanaście razy. Jesz-

cze dziś o piątej po południu, kiedy wracaliśmy z ćwiczeń, por. Roliński alarmował od czoła kolumny, żeby uważać na konie, bo dziury i łatwo o złamanie nogi.

Więc co u diabła? Zabiłbym? Warszawiak na wsi, gdzie jest półtorej ulicy na krzyż? No, nie! Co to, to nie!!! Stałem zakłębony w capa i bezradny.

Nagle... Usłyszałem za plecami jęk! Żeby być dokładniejszym: nie tyle jęk, ile coś pośredniego między stęknieniem a charkotem jakiegoś rozjuszonego zwierza gotującego się skoczyć człowiekowi na kark. Zanim się odwróciłem, usłyszałem podobny rozjuszony bulgot z lewej i z prawej strony. Na moment błysnął księżyc — to, co ujrzałem, nie podniosło mnie na duchu: nisko przy ziemi, przyczajone, chyłkiem krażyły wokół mnie jakieś szare cienie. Było ich pięć, sześć, a może i więcej.

Do tego momentu — mimo tej balladowej scenarii nocnej — wszystko działo się jednak w kategoriach, nazwijmy je, naturalnych: dziwnych wprawdzie, ale realnych i dających się jakoś racjonalistycznie wytłumaczyć. Mostek był, mostku nie ma — dziwne to, owszem, ale nie mi nie podsuwało myśli, by szukać wyjaśnienia na drodze innej niż racjonalistyczna. Cokolwiek się z mostkiem stało, jakaś realna przyczyna być musi, tylko ja jej chwilowo nie znam.

Jednym błyskiem spłoszonej myśli ogarnąłem przedziwną koincydencję niesamowitych okoliczności tej sytuacji, owo nagromadzenie wszelkich typowych rekwizytów horroru. Tak typowych, że aż trywialnych. Że jest północ (bo jest: kiedy wychodziłem z domu była za pięć dwunasta). Że idę do wsi, która się nazywa Zagroby. Że mam złuzować porucznika nazwiskiem Piekietny! Że stoję przy cmentarzu, na wprost rozstajnych dróg i przed mostkiem, który w niepojęty sposób zniknął — a nakoło mnie kręci się karuzela jęczących potępieńców...

W takich sytuacjach nie ma bohaterów! Ja, że nie zacząłem histerycznie wrzeszczeć, że nie wpadłem w dziką panikę, do dziś dnia pocytuję sobie za wielką chwałę!

Powiadają, że ze strachu włosy stają dęba. Nie wiem jak komu, mnie się to tutaj nie przydarzyło.

Ale za to jakby skamieniałem. Kark zdrewniał, ramiona w łokciach, a nogi w kolanach zeszytywały. Zdążyłem tylko wyszarpnąć z kabury pistolet (ten nie nabyty!) i tak trzymając go w sparaliżowanej ręce, otoczony niesamowitą asystą cieni zacząłem sunąć szarpanymi zrywami sztywnych nóg wzdłuż rzeczki — całą diabelską asystą ze mną.

Kilkanaście metrów od miejsca, gdzie powinien być most ujrzałem nagle w krótkim błysku księżycy przysłoniętą deską ratunku — kładkę. Nowa, z poręczami... Nie było jej tam nigdy. Teraz więc — złudzenie to czy rzeczywistość? Nie wdając się w filozoficzne rozważania, desperacko skoczyłem wprost ze skarpy. Jednak rzeczywistość! Deski zadudniły całkiem realnie, poczułem też niemniej realny zapach świeżo ciosanego drewna. W kilka sekund znalazłem się na drugim brzegu, cienie pozostały po tamtej stronie. Księżyc znalazł jakąś większą dziurę w chmurach — zrobiło się widniej. Odetchnąłem.

Dziwna przygoda jak nagle przyszła, tak nagle rozplynęła się, przeminęła, zostawiając mnie znów „postawionego nogami na ziemi”. Ale co to było? Co!? Przez kilkadziesiąt sekund przebywałem przecież jakby w innym świecie. Tym czy... tamtym? Co mi się przydarzyło?

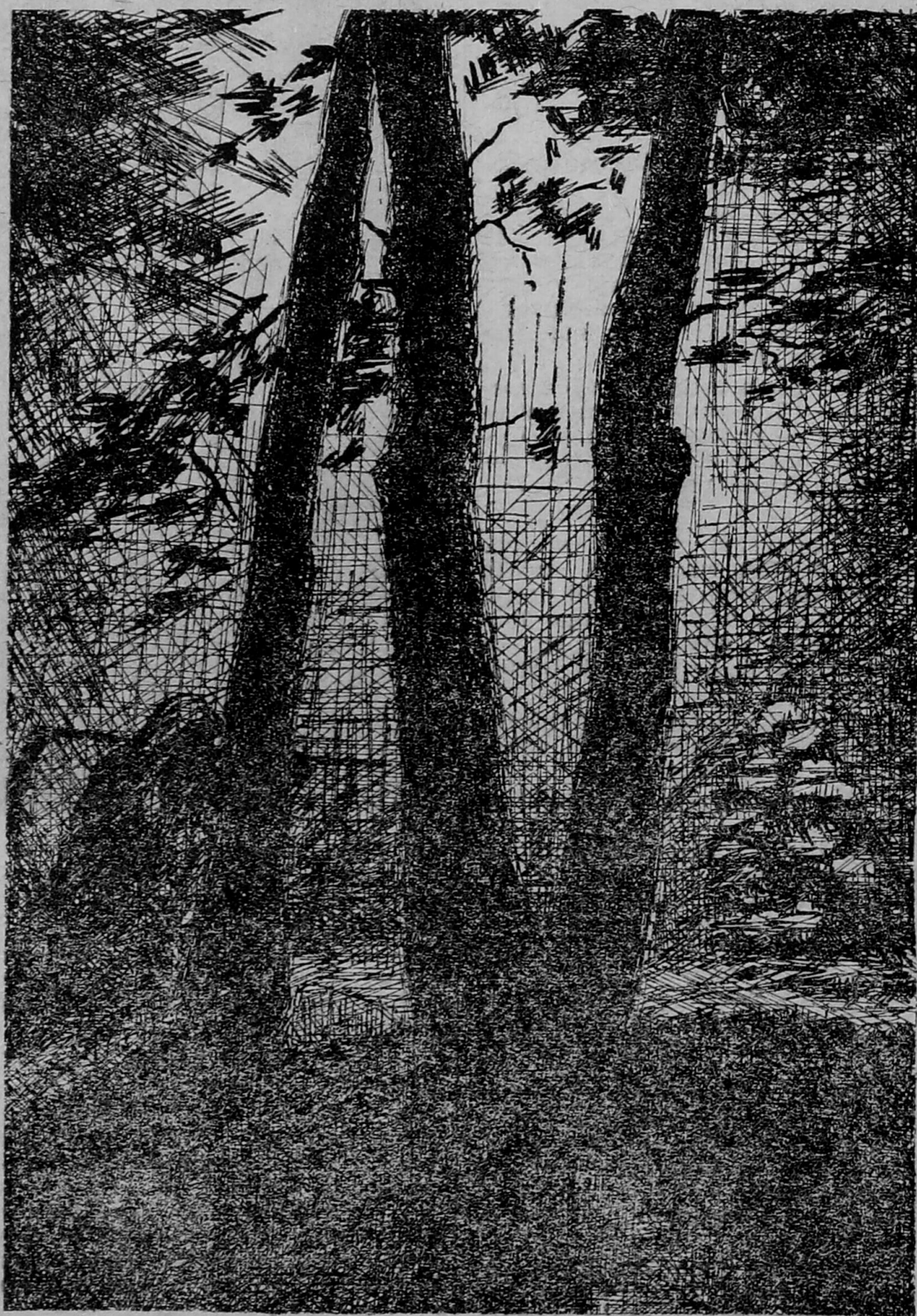
Muszę chętnie wyznać, że jeszcze nie całkiem odtajałem, a już odrzuciłem wszelkie irracjonalne wyjaśnienia. Szybko też zdałem sobie sprawę, że w jakimkolwiek świecie byłem, to na pewno dotarłem przy okazji do tej niebezpiecznej granicy, poza którą już krok tylko i otchłań... groteskowej śmieszności. Wyjść na durniawca mi się nie uśmiechało. Jeśli więc tu wrócę (a czułem, że odpowiednio przygotowany muszę wrócić i wyjaśnić rzecz na miejscu!), trzeba to będzie zrobić w największej dyskrecji. Chwilowo zatem — nikomu o tej przygodzie ani słowa.

Porucznik Piekietny stał już przed szkołą przy zaprzężonej bryczce.

— Bałem się, że pan nie zdąży, a ja za 40 minut mam pociąg — powitał mnie uradowany. — Proszę, oto księga raportów. — wciska mi opasłe tomisko. — Broń pan ma? — Podaje mi kowbojskiego colta. — Bębenek pełny — ostrzegam.

STANISŁAW LEWAŃSKI

podporucznik i duchy



— Dziękuję. Niech pan już jedzie dam sobie radę.

Zostałem sam. Wypróbnym bębenkiem, obejrzałem każdy naboje, sprawdziłem starannie wszystkie mechanizmy. Załadowałem naboje z powrotem i złożyłem się kilka razy do strzału: na wprost, i do tyłu, przerażony w lewo, i z obrotem w prawo — wszystko szło gładko. Teraz plan działania. Zaskoczony nie będę, wiem już mniej więcej, czego się tam mogę spodziewać. Tylko nie brawurować! Trzeba ostrożnie i rozważnie! Doskonale zdaję sobie sprawę, jak ogromne jest ryzyko piramidalnej kompromitacji. Niech mi coś wykoszyc z mroku — jakaś krowa, jakiś baran! Mogę nie wytrzymać nerwowo, rąbnę z puławy — alarm na wartowni, przbiegną z latarkami... I co zastanę? Oficera służbowego pułku nad złośliwymi zwłokami jakiejś jałówki?

Po takim blamażu nie miałbym już czego szukać w takim pułku jak dziesiąty kaniowski w Łodzi. Trzeba by prosić o przeniesienie na dalekie kresy. A i tam nie wiadomo, czy by nie poszła za mną fama bohatera co tak się wystraszył krowy, że całą dywizję postawił na nogi. Nie, do tego dojść nie mogę. Idąc na miejsce wydarzeń, zastanawiałem się więc przy okazji, nim obejściu w Zagrobach, aby jeszcze raz, teoretycznie, przeciwstawić wszystkie możliwe warianty reakcji na „duchy”.

— Jeśli one tak, to ja tak! Jeśli z tej strony, to ja tędy! Jeśli tedy to owdę! — tak sobie, stojąc przy płocie, trenuję, a jednocześnie słyszę, że kilku żołnierzy kręcących się za pobliską stodółą straszliwie bluźnią na temat, który zaczyna mnie coraz bardziej interesować. Podchodzę bliżej — to kucharze. Rzucają obficie mięsem i to w obu znaczeniach tego słowa: tegimi polciami wieprzowiny i koszarową łaciną — tak soczystą, że nawet moje, przyzwyczajone przecież do ujeżdżalniczej frazologii, uszy wędzają.

Wzburzeni opowiadają mi o co chodzi.

Są w okolicy całe watahy zdziwaczalnych psów. Te wieczne głodne zuchwałe, a przemyślniejsze od wilków, kundle zwęszyły mięso i urządziły formalny, doskonale zorganizowany napad na magazyn. Obudzeni kucharze dali bohaterski odpór drągami, kijami, czym kto mógł w ogóle i w regularnej bitwie przepędzili napastników za rzeczke. Teraz robiąc remanent na pobojuwisku nie mogą się doliczyć potówki wieprza i dlatego tak klną.

Oto i tajemnica mojej przygody. Te „duchy”, które mnie obsiadły to były właśnie owe przepędzone przez kucharzy dzikie psy.

A mostek? Dobrze pamiętałem — był całkiem zdezelowany. Po naszym popołudniowym przemarszu (a z nami siedzi jeszcze dywizjon artylerii ciężkiej!) cała budowla się rozleciała. Saperzy, jeszcze przed zachodem słońca, uprzątnęli ruinę do cysta i położyli w pobliżu tymczasową kładkę, tę właśnie, przez którą się salwowałem ucieczką przed „duchami” o północy. No i inne niesamowitości? Ten zamęt na niebie! Wieś Zagroby? Porucznik Piekietny? Ten cmentarz i rozstaje? I to północ — godzina duchów? — Zwyczajny, najzwyczajniejszy zbieg okoliczności — nie ponadto, absolutnie nic!

Z daleka wydaje się ta przygoda czymś groteskowym i zabawnym, ale z bliska i w takiej „dekoracji”. Bohaterów, którzy by się przechwalali, że „oni to by dopiero!” ostrzegam: kochani, nie podskakujcie. Błędnie naśladowałem w puszczech tamtejszych kraja. Słuchałem niedawno dokładnie 19 stycznia 1980, audycji łowieckiej w radiu. Leśniczy z Czerwonego Boru (tego właśnie, naszego Czerwonego Boru) skarżył się, że w puszczy nie ma już prawie zwierząt — tylko ptaki. — To pewnie skutki zeszłorocznych mrozów — domyślał się reporter. — Nie — odpowiadał leśniczy — mrozy i śnieg to głupstwo — potrafimy dokarmiać zwierzęta. Rzecz w tym, że gospodarze tutejsi nie mają zwyczajnie troszczyć się o swoje psy. Trzymają ich mnóstwo, a jeść nie dają. Zgłodniałe kundle uciekają do puszczy i tam dziczeją. To one nam tak wyrzynały wszelką zwierzyń.

A więc „Kiedyskolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie”. Ścisłej okolicach Łomży, w lasach Czerwonego Boru, pomnij na przygodę autora tego opowiadania i miej się na baczności.

Rys. JAROSŁAW BIERDZIŁO

Do je...
działają...
ku nasz...
bieta pr...
potenta...
z mężcz...
konania...
nych m...
pacjent...
rozumia...
i zależa...
wie ws...
klientce...
berlińsk...
liwość...
zycznej...
zaczęła...
kiwać...
Widac...
wiście...
przede...
go nieo...
wej. Pis...
moich p...
na iden...
płęcia m...
gdby b...
chodzi...
Wiem, z...
awersję...
ten wst...
trudność...
i niekie...
mi obja...
touszuc...
oznacza...
— My...
parł Fre...
wisko ob...
z kolei...
pacjentk...
swego m...
tyk, uw...
pewnia...
musiał...
szych, s...
nim w s...
Podczas...
przygląd...
Często n...
czastkow...
żyłem p...
czył jej...
że ojciec...
zawroty...
sie stosu...
znajduje...
cych. W...
ła się z...
koju z...
słyszała...
dził się...
widować...
stopniow...
czym po...
nych do...
Pacjen...
ła za wy...
tała: —
raz jeste...
czy pot...
wierność...
(Na...
ny

n...
p...
Dobrze...
nóżki cie...
zagotowa...
na pół. F...
dą, dodac...
około trz...
niu włoż...
pietruszk...
i gotować

wolno...
Najczęst...
wym spos...
ści jaj w...
świetlanie...
przy prze...
jednolicie...
nych smu...
ra powie...
głębokość...
mają głę...
w ich tr...
smugi. Z...
się od bi...

Rozwiąz...
w s...
Nr 1/83: ...
stronomia...
z naszych...
osowali: 1...
Warszawy...
Łomży, 500...
zyczna, 500...
dów-Wonie

Nr 2/83: ...
dy — nies...
drewniany...
da z Zamb...
Łomży.

jedzie
i bebe
spraw
mecha
z pow
izy do
prze
w pra
Tera
ie be
ego sie
ko nie
troznie
zda
est ry
nitacji
oku
ogę nie
z pu
prze
astana
ad za
alówki
ialbym
puk
Łodzi
nie m
wiado
a fam
yl kro
na no
moze
n za
ostate
py jes
twiczy
reago
Jesi
li tedy
ac prz
ie sty
ych sie
e bluz
mnie
Podcho
Rzucaja
znacze
olciam
cina -
prze
izalnia
o co
zdzi
odne
od wil
i urza
ganiza
udzen
ór dr
w og
epedzi
Tera
owisku
i wiep
zygod
bsiadit
pedzon
alem -
naszy
(a z
arty
się roz
zacho
do czy
mczas
z kłó
ed „du
ne nie
niekie
Piekie
? I t
Zwyk
liczno
nic!
zygod
awny
racji”
echwa
ostrze
cie. B
tamte
dawny
audyc
z Cze
nasze
z. z
wierzy
pewny
— do
odpo
śnie
armia
gospo
ryczaj
ryzma
daj
o pus
am tal
zies
lejer
zerm
de au
ej sie
ERDZ

Do jednego z psychoanalityków, działających w Berlinie na począt ku naszego stulecia, zgłosiła się ko bieta prosząc o pomoc dla męża, im potenty od dnia ślubu. Po rozmowie z mężczyzną lekarz doszedł do prze konania, że seria analiz psychicz nych może dać pozytywny rezultat; pacjent był otwarty, dość dobrze rozumiał metodę psychoanalityczną i zależało mu na wyleczeniu. — Led wie wspominałem o tym mojej klientce — relacjonował Freudowi berliński lekarz — że istnieje moż liwość przywrócenia jej mężowi fi zycznej sprawności płciowej, a już zaczęła nerwowo otwierać i zatrza skiwać torebkę utrzymaną w ręku. Widać jej zamiarem, ukrytym oczy wiście, było przekonanie siebie, a przede wszystkim chyba męża, o je go nieodwracalnej niemocy płcio wej. Pisałem panu także o dwóch moich pacjentkach, które skarżyły się na identyczne objawy: uczucie na pięcia mięśni twarzy wokół ust, jak gdyby były zaciśnięte. Czy nie za chodzi tu zjawisko przeniesienia? Wiem, że obie pacjentki odczuwają awersję do swoich mężów. U jednej ten wstręt jest stłumiony, druga z trudnością znosi stosunek seksualny i niekiedy reaguje wręcz fizyczny mi objawami obrzydzenia. Sądzę, że to uczucie napięcia wokół ust może oznaczać przemieszczenie pochwy ci. — Myślę, że jest to możliwe, od parł Freud. — Tym bardziej że zja wisko obejmuje strefy erogenne. Ja z kolei miałem odmienny przypadek pacjentki, która domagała się od swego męża masochistycznych prak tyk, uważając, że w ten sposób za pewnia sobie jego wierność. Mąż musiał ją bić, wyzywać od najgor szych, siłą rozwierać jej nogi, za nim w sposób brutalny ją posiadał. Podczas stosunku fantazjowała, że przygląda im się wielu świadków. Często miewała zawroty głowy. Z cząstkowych wyznań pacjentki uo żyłem pewien obraz, który tłuma czył jej postępowanie. Okazało się, że ojciec pacjentki także cierpiał na zawroty głowy, a ona często w cza sie stosunku wyobrażała sobie, że znajduje się on wśród podglądają cych. W dzieciństwie identyfikowa ła się z ojcem. Spała w jednym po koju z rodzicami i niejednokrotnie słyszała, jak ojciec brutalnie obcho dził się z matką. Udało mi się zlik widować zawroty głowy, a także, stopniowo, wytłumaczyć kobiecie, na czym polega istota masochistycz nych doznań w akcie seksualnym. Pacjentka, żegnając się, dziękowa ła za wyleczenie, ale na końcu spy tała: — Panie profesorze, skoro te raz jestem już normalną kobietą, czy potrafię dotrzymać mężowi wierności? (Na podstawie „Pasji utajo nych” Irvinga Stone’a)

seks oswojonych



zasolona pustynia

Wiele podejmowano wysiłków by odzyskać dla człowieka pustynię, szczególnie te tereny, które przed wiekami były spichrzem starożyt nych cywilizacji. Jak do tej pory nie ma na nie powrotu — wszystkiemu winna sól. Na terenach, gdzie wo dy podziemne są silnie zasolone, po nawodnieniu słona woda się podno si, sięga korzeni albo wypływa na powierzchnię, tworząc twardą, nie przepuszczalną skorupę. Unemożli wia w ten sposób kiełkowanie ro ślin, utrudnia ich rozwój i oddycha nie. Dawne ludy krajów Mezopo tamii skutecznie radziły sobie z tym problemem. Rolnictwo dawnych kul tur opierało się na dwóch tradycyj nych zasadach: unikaniu nadmierne go nawadniania oraz zachwaszcza niu gruntów co dwa lata. Chwasty głęboko zapuszczały korzenie, dzie ki czemu na pewnej głębokości two rzyła się sucha strefa, która zapo biegała kapilarnemu podsiąkaniu słonych wód gruntowych — było to jakby drenowanie za pośrednictwem roślin. Dzięki transpiracji i parowa niu przez liście, można było obniżyć zwierciadło wody w głębszej do bez piecznego poziomu.

puchnąca doba

Jeszcze w XVIII wieku niemiec ki filozof, Emanuel Kant, oznajmił, że przepływowe tarcie warstw Zie mi, powodowane przez Księżyc i Słońce powinno hamować obroty planety, a tym samym doba po winna rosnąć. Logiczność takiego wywodu potwierdzili astronomowie Patentolodzy, badając przekroje skamieniałych koralu z okresu sy turskiego, znajdowali na nich linie dobowego przyrostu na podobień stwo pierścieni pnia drzewa. Czyta jąc je ustalili, że 430 milionów lat temu rok na Ziemi miał 421 dob, a każda liczyła 21 godzin. Badania skłaniały do wniosku, że dalej po winna się ona wydłużać. Dlaczego więc współczesne koralu mają ilość takich linii stałą — średnio 365 — a więc tyle, ile jest dni w roku. Problem ten długo zastanawiał nau kowców. Choć wyjaśnili oni zależ ności związane z dynamiką systemu Słońce—Ziemia—Księżyc, nie znaj dują odpowiedzi na pytanie, czy długo jeszcze nasza planeta wyko nywać będzie pełny obrót w ciągu 24 godzin?

13
KONTAKTY
20 II 1983

Stragan pod trzynastką



TANIE DANIE nóżki cielece panierowane

Dobrze oczyszczone i ogolone nóżki cielece zalać wrzącą wodą, zagotować, odlać i przeciąć wzdłuż na pół. Ponownie zalać wrzącą wo dą, dodać liść laurowy i gotować około trzech godzin. Na dogotowa niu włożyć warzywa: 2 marchwie, pietruszkę, por, pół selera. Posolić i gotować pod przykryciem do mięk

jajo wolne od podejrzeń

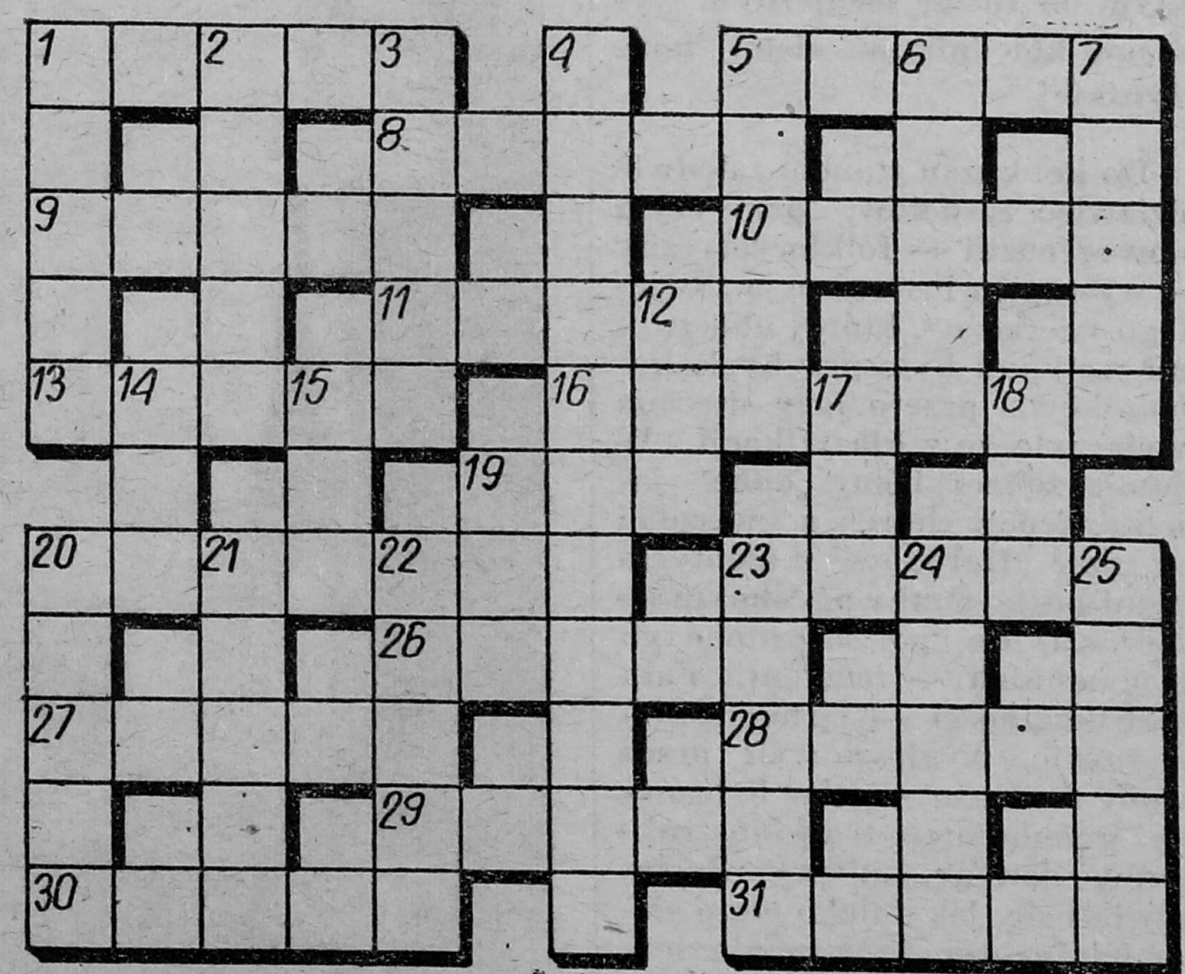
Najczęściej stosowanym domo wym sposobem sprawdzania świeżo ści jaj w skorupce jest ich prze świetlanie nad żarówką: świeże są przy prześwietlaniu lekko różowe, jednolicie zabarwione, bez ciem nych smug i plam, widoczna komo ra powietrzna nie przekracza 0,6 cm głębokości. Natomiast jaja starsze mają głęboką komorę powietrzną i w ich treści mogą być widoczne smugi. Żółtko dość mocno odcina się od białka, gdyż otaczająca je

kości. Gdy mięso już oddziela się od kości: odcedzić, osączyć i poki gorące, wyjąć z nich kości i grub sze chrząstki. Z każdej nóżki uo czyć dwa prostokąty na tacy, przy cisnąć deskę i obciążyć ją. Pozosta wieć do zupełnego zastudzenia. Na stępnie każdy kawałek przekroić na pół, oprószyć solą i pieprzem i panierować w mące z rozmaconym jajkiem i tartej bulce. Smażyć na rozgrzanym tłuszczu z dwóch stron na jasnożółty kolor. Ułożyć na pół misku: podawać z ziemniakami, su rowką z warzyw.

blona jest podeschnięta. Jaja ze psute są ciemne podczas prześwie tiania.

Sprawdzać można również roz tworem soli (na 1 litr wody — 10 kkg soli): jajo świeże opada powo li na dno naczynia, gdyż jest cięż kie i ma niewielką komorę po wietrzną, to mniej świeże utrzymu je się w środku roztworu, a nie świeże będzie pływać na po wierzchni.

Sprawdzanie świeżości przez po trząsanie nie jest miarodajne, gdyż często jajo, nawet świeże, „chlupo cze” z powodu zerwanych chalaz.



Rozwiązanie krzyżówek zamieszczonych w styczniowych numerach

Nr 1/83: „WSS „Społem” to handel, gastronomia, usługi, produkcja. Korzysta z naszych ofert”. Nagrody pieniężne wy losowali: 1000 zł — Halina Mikulska z Warszawy, 800 zł — Eugenia Lipińska z Łodzi, 500 zł — Wojciech Smorz z Gi zyka, 500 zł — Stanisław Bajko z Gra dów-Wonięka.

Nr 2/83: „Zgoda tworzy prawo”. Nagro dy — niespodzianki (notes i moździer z drewniany) wylosowali — Lidia Wojewo da z Zambrowa, Joanna Switajewska z Łomży.

Nr 3/83: „Czy kamień od gotowania zrobi się miękki”. Nagrody książkowe wylosowali: Bogumiła Olkowska z Brze zina, Tadeusz Białaszewski z Białaszewa, Andrzej Wojewoda z Zambrowa, Bożena Kupidowska z Łomży.

Nr 4/83: „Dobry początek to połowa dzieła”. Książki wylosowali: Zygmunt Stanisławski z Wasosza, Paweł Janaszek z Łodzi, Leon Turkowicz z Łomży, Ma ria Depczyk z Zambrowa.

Nr 5/83: „Nadmalar snu mężczy”. Książki wylosowali: Manfred Micek z Pizsa, Ste fan Rutkowski z Zambrowa, Danuta Szymańczyk z Pizsa.

Gratulujemy szczęśliwcom. Nagrody prześlemy pocztą.

POZIOMO: 1) zdolność dostrzegania komicznych stron życia, 5) ssak z rodzi ny pustuńców, 8) porozumienie, 9) au tor powieści „Hrabia Monte Christo”, 10) najemny pracownik folwarczny, 11) piecze w przelyku, 13) typ aktora filmo wego, 16) ciężka karetą podróżna, 19) oznaka żaloby, 20) rzemieślnik mający doczynienie z drewnem, 23) wypływa z bajki, 26) prawy dopływ Mozeli, 27) po spolity chwast łukowy, 28) obrazkowa zagadka, 29) ogłoszenie prasowe, 30) dro ga bita gościńiec, 31) przeciwieństwo nadiru.

PIONOWO: 1) mityczny potwór 3-gło wy, 2) zabalsamowane zwłoki, 3) część

puleniska, 4) system gry hazardowej w formie zakładów, 5) znak Zodiaku, 6) różga, 7) pies kosmonauta, 12) duże na czynie do gotowania wody, 14) podanie, legenda, 15) przyjaciółka Stasia, 17) spód jeziora, butelki, 18) matka bogów, 19) rozbija się o izbiec, 20) papieros wyko nany domowym sposobem, 21) „Tosca”, „Aida”, „Parla”, 22) pierwiastek che miczny, 23) piosenka towarzysząca pa radzie, rewii, 24) marka radzieckiego te lewizora kolorowego, 25) dawna jednost ka pojemności ciał sypkich. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesła pod adresem redak cji prawidłowe rozwiązania, rozlosuje my nagrody książkowe.



ZIDZENIE

ZIDZIOŁEM DZIWNIE

Osobliwi kolednicy zawitali w dniu 30 stycznia br. do Nowogrodu: nie wyciągali rąk ani czapek do gospodarzy, lecz przywieźli własne wałówki. Nie było im dane jednak spożytkować pieczonych kurczaków i kanapek z konkurencją i jurorami. Po zainkasowaniu symbolicznych nagród (3000—6000 złotych) powrócili do swoich miejscowości — mocno rozczarowani.

Jak zachęcić te amatorskie grupy kolednicze do uczestnictwa w przeglądach (które wejść już do corocznej tradycji), a przede wszystkim: co zrobić, żeby w ogóle istniały? Nad tymi pytaniami zastanawiali się pracownicy kultury podczas wieczornego spotkania po pierwszym od 10 lat scenicznym występie koledników ziemi łomżyńskiej.

Do konkursu stanęło zaledwie dziewięć zespołów, przy czym nowogrodzki — folklorystyczny — wystąpił z inscenizacją „Świętego wieczoru”, której ubocznymi wątkami było przybycie koledników, przeto jury słusznie wyłączyło go z klasyfikacji. W sumie zobaczyliśmy jedno jasełka, jeden chór z gwiazdą i aż sześć „Herodów” z identycznymi postaciami i podobnym — sądząc tylko po zrozumiałych fragmentach — tekstem. Fakt niestęszalności — cicho i niewyraźnie wygłaszanych przez osoby dramatu — słów był również przedmiotem troski instruktorów domów kultury. Zastanawiali się, jak daleko może sięgać ich ingerencja w spontaniczne poczynania amatorskich zespołów koledniczych, które składają się z ludzi dobrej woli, spłacających prywatnym czasem haracz polskiemu obyczajowi ludowemu.

Na południu kraju o wiele częstsze i ciągle są przejawy kultywowania obyczajów — stwierdziła żr Teresa Ambrożewicz, pracownica Muzeum



Etnograficznego w Warszawie — To efekt zwartości etnicznej mieszkających tam ludzi. Np. konkursy szopkowe w Krakowie mają już swoją 46-letnią tradycję, a przeglądy widowisk ludowych — ogromną obsadę frekwencji.

Nowogrodzki „festiwal” może ożywić tę formę aktywności mieszkańców łomżyńskich wsi, jeśli będzie sprawniej organizowany i wieńczony spotkaniem zespołów koledniczych dla wymiany wrażeń i doświadczeń, wreszcie dla wspólnej zabawy, np. przy ognisku, aby — oprócz ewentualnej nagrody — wyniosły one z imprezy nie tylko wspomnienia z występów, ale również satysfakcję wynikającą z partnerskiego potraktowania ich przez pracowników kultury i jurorów.

Natomiast ingerencja instruktorów powinna ograniczyć się jedynie do uwag dotyczących posługiwania się rekwizytem (zły wyciętych maskach słow aktorów były prawie zupełnie niezrozumiałe), wolniejszego wypowiadania kwestii tudzie skracania długości śpiewanych koled; dotyczy to również — może głównie — nowogrodzkiego zespołu folklorystycznego, którego pełnospektaklowy „Święty wieczór” rozciągały w nieskończoność nowe, piękne, ale 12—16-zwrotkowe pieśni.

Tyle uchwalili poprzeglądowi seminarzyści. Natomiast wdzięczni odbiorcy widowisk zgłosili tylko jedną prośbę: kiedy już uda się zainspirować powstanie nowych zespołów koledniczych, niechże wszystkie nie specjalizują się w „Herodach”, bowiem sześciu pod ręką trudno przeżyć, a co dopiero kilkunastu, czy kilkudziesięciu (S.H.)

Fot. GABOR LÖRINCZ

DO
komisarza
droga pol
a Rejon
w Wysoki
datkowo
Golasze D
RUTKI.
sprawozda
Związku
Rolniczy
cela ped
przysług
Nauczycie
4 tych up
trudno d
Mieszka
nika gmin
nie społecz
szkoly, ro
prywatnym
ly przezn
różnica p
wielacja p
przeznacz
szkoly. ●
Wydziału
która wyn
sądniczej
wypowied
stał się j
proponując
umieścić t
pretensje
Gminnej c
ległych m
jać przydz
z funduszy
CZWARTE
PROGRA
CSRS. 15.
młodych w
raz m.in. f
Dziennik.
terów spor
dawniczy.
18.15. Mag
rozmowy.
19.30. Dzie
zi: R. Cha
(2). 22.15.
PROGRA
16.00. J. r
dla zaawan
— film pr
mówić”. 19
Dziennik.
muzyka: B
lisy sportu
nie”. 21.45.
„Na estrad
PIĄTEK
PROGRA
Program d
dzieci”. 1
17.00. Dzier
zytecznym
ny. 18.40. P
branoc —
Program 2
20.00. Moni
akcja” —
22.00. Pro
Dziennik
styczny.
PROGRA
16.30. J. fr
wsi”. 17.30.
Zalewski —
powiedzi n
19.00. Prog
TV. 20.00.
menta. 20.4
poświęcony
Filmy: „C
ciel”. (2);
„Bojarów”;
SOBOTA
PROGRA
8.00. „Sobot
G”. 10.30. S
„Bałamut”
Wybrane z
rolniczy. 13
skowy film
anten”. 15.0
pieprz rośn
ki”. 16.00. F
tu co się d
17.25. Kam
publicystyc
sio”. 19.00.
„Nowi loka
20.15. Teres
wianskiej p
21” — prog
mości spor
„Życie Ka
TP.
PROGRA
dziej zmian
wia. 14.10.
Wianie pr
sie” — film
wa z rez.
Cieslakiem.
inne pios
wy. 15.40.
„Poszukiwa
„Kryminaln
16.30. Wizyt
16.50. Gość
kłamstw i
ne tango”
kiwanie pr
nia detekty
kanie” —
18.40. Czyje
kryminalna
gram lokal
Tadeusza C
tem II woj
wanie — prze
i rozwiązani
J. J. Kali
rep. filmow
dalszy — p
Sport. 23.25
minalne tar
NIEDZIELA
PROGRA
sa. 7.50. No
dzie. 8.15. M
„Teleranek”
(7). 10.20. „
„Cuda ka
11.30. Z ty
południe st

niefortunne polowanie proboszcza

Było to jeszcze przed wojną — opowiada Tadeusz Gorski. — W jednym z nadleśnictw dziki rozmnożyły się do tego stopnia, że zadeptywały wszelkie prawie uprawy. Niemal co noc urządzało się zasadzki, ale dziki, jakby wyczuwszy, że ktoś czeka na nie w ukryciu ze sztucernym lub flintą, w tych miejscach akurat nie wychodziły. Nadleśniczy — z pochodzenia Czech — bardzo miły i gościnny człowiek, postanowił urządzić zasadzkę na często uczęszczanym przez dziki polatku kukurydzy. Zaprosił do udziału w niej znajomych myśliwych, m. in. księdza proboszcza z sąsiedniej parafii, człowieka bardzo szanującego tradycje łowieckie: gdy ten organizował polowanie na swoim terenie, musiało ono trwać trzy dni i kończyło się zawsze wspólnym przyjęciem, na którym podawano smaczne przyrządzone zakąski podlewane obficie doskonałymi nalewkami.

Ksiądz proboszcz przyjechał jak zwykle swoim wózkiem, tzw. „literkami”. Narada trwała krótko: postanowiliśmy obstarwić wieczorem pole kukurydzy i czekać do rana, kiedy będzie już dobra widoczność. Gajowy Chwostek otrzymał polecenie wejścia w środek kukurydzy i wypalenia na postrach. Strzał miał

być równocześnie sygnałem do rozpoczęcia polowania.

Zanim jednak wyruszyliśmy, nadleśniczy podjął miłych gości wykwintnym podwieczorkiem zakrapianym swego wyrobu „jarzebiakiem”. Pani nadleśniczyna zaś, na ogólne życzenie, pokazała — na szczęście kolanka.

Noc była ciemna i zimna, ostry wiatr ciągnął od wschodu. Ksiądz proboszcz — za zgodą nadleśniczego — przyjechał na swoje stanowisko wozem suto wysłanym słomą i kocami. Rozparł się w nim wygodnie i tak przygotowany czekał ze wszystkimi brzasku.

Siedziałem na stołeczku wtulony twarzą w kołnierz kurtki. Gdzieś z lewej strony mego stanowiska przemknął cień — to dzieje watahy wychodziły w pole kukurydzy. Po chwili usłyszałem bliskie łamanie na wpół zeschłych łodyg i apetyczne ciąkanie słodkich, kukurydzianych kolb. Tu i ówdzie rozlegało się pochrzakiwanie, kwik. Spięty do ostatnich granic starałem się wstrzymać oddech.

Mineło kilka godzin. Spojrzałem w bok — lekka poświata zaczęła wyrzynać z ciemności niewyraźny kontur wózka. Cisza. Dziki odeszły gdzieś dalej.

O mały włos nie spadłem ze sto-



lecza. Strzał poderwał mnie na równe nogi. Jednocześnie zobaczyłem kilka dzików wybiegających z kukurydzy. Strzeliłem — raz drugi. Jeden z dzików zaznaczył, drugi padł w ogniu. Mimowolnie poszukałem wzrokiem księdza proboszcza. Ogromny dźwięk walił właśnie w jego kierunku. Rozległ się łomot przewracanego wózka i krzyk księdza. Przestraszone dziczysko wygramoliło się spod „literki” i pognęło w kierunku pobliskiego lasu. Pobiegłem na ratunek. Księdza

proboszcza ani widać, ani słychać, tylko jego fuzyjka leży porzucona obok. Zaczęłem rozgrzebywać słomę, koca, dobrałem się wreszcie do księzowskich walonków, pociągnąłem za nogi i... usłyszałem raptem przytłumiony głos: „Franek, do cholery, zdejm najpierw siedzenie, bo mi głowę i d... urwiesz”.

Dodam jeszcze, że zapach, jaki towarzyszył całej tej przygodzie, nie był bynajmniej zapachem dziczego barłogu. Ale o tym nie wypada już jakoś opowiadać w detalach.

KONIK WODNY

klusownictwo

Jednym ze statutowych obowiązków Polskiego Związku Wędkarskiego jest ochrona wód przed klusownikami. Dodajmy — obowiązek, z którego Związek nie wywiązuje się. Coraz trudniej mówić o skuteczności ochrony, rośnie natomiast bezczelność, a nawet agresywność klusowników. Honorowi strażnicy wód już po kilku dniach społecznej służby rezygnują z niej, strażnicy zawodowi — niczego i nikogo nie widzą. Cóż bowiem zrobi jeden czy nawet dwóch ludzi wobec kilku czy kilkunastu amatorów „tatwej” rybki? A strażnicy to też z reguły wędkarze, wolą więc spokojne życie od ciągłych utarczek. Nie raz już bowiem zdarzyło się, że niefortunny społecznik stracił sprzęt wędkarski, namiot, koło od samochodu, czy niechcący skapał się lub oblił... o coś. Niewiele pomagają nocne eskapady łodzi w 3—4 osoby. Silnik słysząc po wodzie na kilka kilometrów; albo więc nikogo się już na miejscu klusowania nie zastanie, albo natknie na liczniejszą grupę, z którą po prostu niebezpiecznie zadzierają.

W klusowaniu skutecznie przeszkadza w zasadzie sama obecność wędkarza. Okazuje się jednak, że i na niego można znaleźć sposób. O tym, że nie jest to głosowe, można się przekonać próbując wędkowania na odcinku Narwi, między wsiami Krzewo, Kossaki, Bronowo. Zgodnie z prawem wodnym, każdy wędkarz powinien mieć swobodny dostęp do lustra wody. Powinien. Tam nie ma Zapobiegliwi chłopcy ogrodzili bowiem swoje łaki i pola aż do rzeki. Zabrali także sześciometrowy pas brzegu, za który nie placą, gdyż w ten sposób państwo rekompensuje straty, jakie mogliby im ewentualnie wyrządzić (m.in.) wędkarze. Co pomysłowi i bezczelniejsi wystawili nawet na drogach dojazdowych znaki zakazu wjazdu. Jest to prawie 100-procentowe zabezpieczenie przed wędkarzami, gdyż niewielu z nich decyduje się na pozostawienie pojazdu we wsi, bo też i niewielu z nich ma chęć wracać później do domu piechotą. Na wyjątkowo unartych znajdują się zawsze jakieś widły czy kłonicy.

W sumie trudno nawet powiedzieć, żeby chłopcy działali nielegalnie. Mają na to wszystko zgodę naczelnika. Niewiele go kosztowała, a chociaż na jakiś czas wykipił się od nieustannych molestowań o maszyny.

Redagowanie:
DANUTA I ALEKSANDER
WRONISZEWSKY

Rozkład sił na osie pojazdu wpływa na jego sterowność, szczególnie na stateczność przy pokonywaniu zakrętów. Użytkownik samochodu osobowego może to zmieniać tylko w niewielkim zakresie przez odpowiednie układanie bagażu. Znacznie większe możliwości zwiększenia obciążenia osi pojazdu uzyskuje się dzięki wprowadzaniu zmian zarysu aerodynamicznego nadwozia. Poprawiają one m.in. stateczność ruchu samochodu przy bocznych wiatrach oraz, wskutek obniżenia oporów aerodynamicznych, zmniejszają zużycie paliwa. Zmiany polegają na zastosowaniu tzw. spojlerów, czyli „przystawek” mocowanych w przedniej i tylnej części nadwozia.

Efekty uzyskiwane dzięki spojlerom tylnym mogą się wydawać problematyczne ze względu na obowiązujące ograniczenia maksymalnych prędkości jazdy po drogach publicznych. Obawy

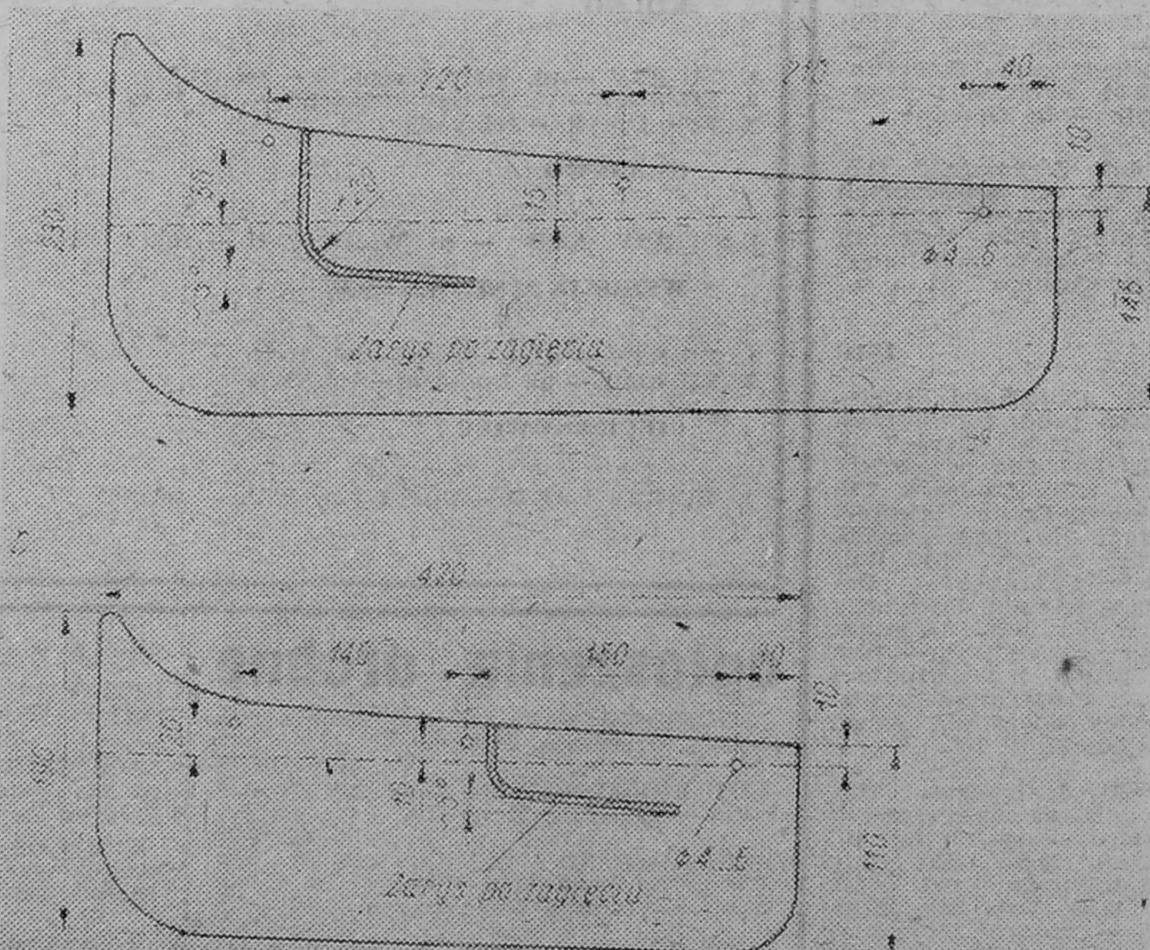
AUTOWARIACJE

spojlery

tego typu nie dotyczą spojlerów przednich — ich efektywne działanie rozpoczyna się już przy niewielkich prędkościach. Spojler przedni, powodując spływ zawirowanego powietrza wzdłuż bocznych ścian nadwozia, izoluje je częściowo od działania wiatru bocznego i zdecydowanie poprawia stabilność ruchu nawet przy wietrze porywistym. Zastosowanie spojlerów przednich w samochodach typu Fiat 125p i Fiat 126p chroni ponadto ich szyby przednie przed zachlapywaniem podczas pokonywania kałuż wody lub błota.

Zastosowanie spojlera nad tylną częścią dachu samochodu holującego przyczepę może obniżyć zużycie paliwa o 10—15 procent w stosunku do zużycia występującego przy holowaniu przyczepy przez pojazd nie posiadający spojlera.

Z usprawnień WAT-owskich wybrała
WAWROWA



Rys. 224 Szkice wykonawcze przednich spojlerów
a — samochodu PF 125p, b — samochodu PF 126p

SZTUKA I FILOZOFIA WALKI

wing tsun

WING TSUN (co znaczy „piękny czas wiosny”) to styl walki, który został stworzony prawdopodobnie około 400 lat temu przez kobietę Yim Wing Tsun. Styl ten opierał się na technikach mniszki Ng Mui z Shaolin, klasztoru znajdującego się w południowej prowincji chińskiej Fukien. Yim Wing Tsun czuła, że styl Ng Mui jest zbyt złożony, że za duży nacisk kładzie na techniki siłowe i poszukiwała własnych, prostszych rozwiązań.

Ponieważ najkrótszym dystansem między dwoma punktami jest linia prosta, osią, wokół której koncentruje się blok i uderzenie, jest linia która biegnie w dół przez środek ciała. Praktycy Wing Tsun w czasie walki trzymają swoją linię centralną bezpośrednio przed brodą, przeciwnika Wing Tsun nie posiada więc elegancji i płynności ruchów większości form Kung Fu, a jego prostota ma swoje odbicie w liczbie technik (Kuen) — jedynie trzech: „sil lum tao” (mała myśl), „chum kil” (przerzucanie mostu) i „bil jee” (strzelające palce). Trening rozpoczyna się od „sil lum tao”, podstawowej formy i postępuje przez „chum kil” i „bil jee”. Po drodze student naucza się także „chi sao” (lepkie ręce). Ćwiczenie to, oparte na dynamicznej równowadze przeciwnych sił (yin i yang), wysubtelnia wrażliwość dłoni i rak studenta do tego stopnia, że może on wyczuć intencje swojego przeciwnika tylko dzięki dotykowi. Po tych treningach student wykorzystuje te umiejętności w ćwiczeniu „108 ruchów mook jong” (drewniany manekin). Ta metoda przewiduje każdą możliwą sytuację i całą zdobytą wiedza jest tu doskonałona.

Zasada nieruchomego łokcia, czterech rogów i jednoczesnego bloku i ataku decyduje o charakterystycznej dla Wing Tsun ekonomiczności ruchów. Dłonie i przedramiona mogą się poruszać w dowolnym kierunku, ale łokieć musi pozostać około trzech cali (7—8 cm) przed ciałem.

Yim Wing Tsun nauczyła tej sztuki swego męża, profesjonalnego aktora, biegłego w sztukach wojennych. Wing Tsun było przekazywane przez wieki dzięki takim ludziom jak Leong Bok Sul, Wong Wah Bo, Leong Yee Tai, Leong Jan, Chan Wah Soon, Yip Man (nauczyciel Bruce’a Lee), Leong Sheong i Wang Soon Sum.

W Polsce propagatorem tej techniki jest warszawska szkoła Janusza Szymankiewicza i Marka Stefaniaka. Ich bezpośrednim nauczycielem (sifu) jest Milan Prosenic z Zagrzebia.